.. Ewa wzywa 07 ...



Danuta Frey

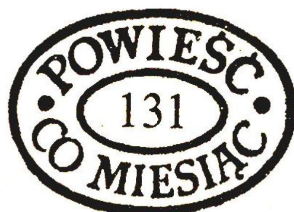
FIAT Z PLACU TEATRALNEGO

ISKRY

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07

Danuta Frey

FIAT Z PLACU TEATRALNEGO



ISKRY · WARSZAWA · 1985

I

Koncert w Filharmonii Narodowej zamykała *Msza Koronacyjna Mozarta*. Kiedy przebrzmiały ostatnie takty *tutti* i dyrygent odwrócił się. Kamila Wanacka szepnęła do swego męża. Marka, który siedział obok:

— Wspaniałe!

Była autentycznie wzruszona, choć prawdę mówiąc w ogóle nie znała się na muzyce, a bilety do filharmonii Wanaccy dostali przypadkowo od znajomych, którzy sami nie mogli pójść.

Mimo to nie nudzili się. Występowała orkiestra i soliści z RFN. Sala była pełna, brawa długie. Na scenę wniesiono kwiaty. Artyści, dyrygent, chór i orkiestra ukłonili się jeszcze kilka razy i zniknęli za kulisami.

Wanaccy wyszli z filharmonii jako jedni z ostatnich. Kamila miała na sobie dopasowany turecki kożuch z postawionym kołnierzem, spod którego widać było zaróżowioną twarz i pasma długich, jasnych włosów. Marek mimo swoich trzydziestu pięciu lat udawał dwudziestolatka, paradując przy mrozie z gołą głową.

Ich żółta łada, z przydziałów, które w komendzie stołecznej dawano dwa lata temu. stała na parkingu za filharmonią, z szybami pokrytymi cienką warstewką lodu. Jeszcze po południu padał deszcz ze śniegiem. Teraz ulice zaczynały się zmieniać w niebezpieczną ślizgawkę.

— Ale będzie jazda! — westchnął Wnnaeki i wziął się do rozmrażania szyb.

W tym samym czasie, kiedy Wanaccy opuszczali filharmonię, z niedalekiego placu Teatralnego wyjeżdżał biały fiat. Za kierownicą samochodu siedział młody, krótko ostrzyżony mężczyzna o pospolitej twarzy, z rodzaju tych, których nie sposób zapamiętać. Wyglądał na siedemnaście-osiemnaście lat. A chociaż nad jego górną wargą widniał meszek wąsika, zarys podbródka miał jeszcze chłopięcy, ruchy niezdarne, kanciaste jak szczeniak. Po szczeniacku też, jakoś pospiesznie, zaciągał się papierosem.

Pasażer, zajmujący miejsce obok, był starszy o co najmniej dziesięć lal. Zabójczym wąsem i śniadą cerą przypominał Cygana. Tak go też zresztą zwano, choć z Cyganami nie łączyło go nigdy nic poza fizycznym podobieństwem. W jego spojrzeniu dostrzegało się cwaniacki spryt osobników wierzących, że wszystkich przechytrzą.

Jazda była bardzo trudna. Ślisko, piaskarek ani śladu. Gdyby wcześniej przewidzieli, że...

No tak — ale czy przewidzieć mogli? A nawet jeśli? Wszystko zostało przecież ustalone wcześniej i zmiana planu musiałaby pociągnąć duże komplikacje. Tych zaś należało absolutnie unikać.

„Cygan" spojrzał niecierpliwie na tarczę zegarka na tablicy rozdzielczej. Fosforyzujące wskazówki zbliżały się do wpół do dziesiątej. Spektakl w Teatrze Narodowym miał się zakończyć o dziesiątej, opera w sąsiednim Teatrze Wielkim o wpół do jedenastej. Mieli więc jeszcze pewną rezerwę.Za dwadzieścia dziesiąta minęli Halę Mary-moncką. zmierzając dalej, w kierunku Bielan. Ulice były prawie puste. Jedynie autobusy, sunące wolno po przeciwległej stronie oszronionego pasa zieleni, który oddzielał od siebie dwie jezdnie, wyrzucały z hałasem kłęby spalin. Raz pojawił się tramwaj i zniknął, donośnie dzwoniąc.

„Już niedaleko - pomyślał „Cygan" i poczuł się pewniej. Wyszczerzył zęby i zagadał do siedzącego obok chłopaka:

— Poszło jak trzeba, co? Widzisz, bracie, z „Cyganem" nie zginiesz — mówił o sobie ? trzeciej osobie, tonem pełnym przechwałki.

Chłopak jakby nic słyszał. Może jego uwagę bez reszty zajmowała trudna jazda, a może wciąż jeszcze nie umiał się pozbyć strachu, który zapanował nad nim zaraz po opuszczeniu placu Teatralnego? Ciekawe, że nie czuł go przedtem, gdy... Dopiero później, kiedy już siedział za kierownicą, i kiedy „Cygan" powiedział, że teraz jadą na umówione miejsce.

Nie, absolutnie nie mógł po sobie pokazać, że się boi. Tamten uważałby go, i słusznie, za gówniarza i mięczaka. Zresztą już wkrótce odstawią samochód i wrócą do domu zwyczajnie, jak gdyby nigdy nic. autobusem. Żadna taksówka ani okazja. W taksówce człowiek jest sam, w autobusie ginie wśród innych pasażerów. Kto go spamięta, skojarzy w razie czego? Zaciągnął się papierosem, silniej ujął kierownicę. Musi się okazać pewniakiem do końca.

Latarnie oświetlały pierwsze szeregi drzew Lasku Bielańskiego, odbijając' się w pokrytej szronem szybie. Czy to dmuchawa działała tak słabo, czy też wilgotna mgła. którą wciąż było przepojone powietrze, od razu zamarzała — w każdym razie widoczność była słaba.

Chłopak zwolnił, ale za chwilę poderwał go głos „Cygana".

— Co się tak wleczesz? Do dwunastej w nocy nie zajedziemy w tym tempie!

— Ślisko — odparł. — I mgła... ,,Cygan" skrzywił się Z kpiną.

— Nie pieprz, braciszku! Boja masz czy co?

Chłopak nacisnął mocniej pedał gazu. Przed stacją benzynową po drugiej stronie jezdni stały dwa samochody, trzeci właśnie brał benzynę. Zamajaczyła najpierw jedna kładka dla pieszych nad ulicą, następnie druga, potem domy osiedla Młociny. Zbliżali się do znajdującego się naprzeciw osiedla cmentarza żołnierzy włoskich.

I właśnie na wysokości cmentarza wjechali na zamarzniętą kałużę i wpadli w poślizg, którego chłopak nie mógł opanować. „Cygan" rzucił się ku kierownicy — ale na próżno. Samochód zakręciło, zarzuciło, najpierw w jedną, następnie w drugą stronę. Biały fiat obrócił się wokół własnej osi i balansując po śliskiej nawierzchni, uderzył w słup trakcyjny linii tramwajowej.

Wanaccy wrócili do domu później, niż się spodziewali. Z powodu gołoledzi musieli jechać wolno, a następnie zmitrężyli sporo czasu odbierając swoją pięcioletnią córkę Małgosię od matki Kamili, u której spędziła cały wieczór.

Po drodze zmarzli, więc zaraz po powrocie Kamila poszła do kuchni nastawić herbatę i zrobić coś na kolację. Wanacki napuścił wody do wanny na kąpiel dla Gośki, lecz ledwie wyszedł z łazienki, odezwał się telefon.

— Do majora Wanackiego —zawiadomiła lakonicznie Kamila, która wcześniej podniosła słuchawkę.

Dzwonił oficer dyżurny komendy stołecznej. Wanacki słuchał przez chwilę. Spojrzał na zegarek i odwinął z powrotem rękawy koszuli.

— Dobrze — rzekł wreszcie. - Za dziesięć minut będę na dole. Odłożył słuchawkę. Kamila spojrzała pytająco.

— Coś nowego?

— Tak — odparł. — Za dziesięć minut podeślą mi radiowóz. Zdążysz mi dać coś do zjedzenia do tej pory?

— Chleb z serem, białym albo żółtym, dżem. miód. Może być jeszcze jajecznica albo sadzone.

Bez specjalnego entuzjazmu zgodził się na jajecznice, chleb i dżem. Na ser już. prawie nie mógł patrzeć, ponieważ stale go jedli. O wędlinę nawet nie pytał.

Kiedy zszedł na dół, radiowóz już czekał. Poza kierowcą nic było w nim nikogo, więc Wanacki nic mógł się dowiedzieć

żadnych szczegółów.
Dojeżdżając do cmentarza żołnierzy włoskich na Młocinach, ujrzał grupkę ludzi oraz, dwóch milicjantów popędzających lizakami nadjeżdżające samochody. Musiał się też palić i reflektor, skoro sylwetki ludzi rzucały na jezdnię długie cienie.
Stanęli tuż za radiowozem milicji drogowej. Zanim Wanacki wysiadł, do samochodu zbliżył się umundurowany funkcjonariusz z patrolu drogowego. Razem podeszli do miejsca wypadku. Gapie rozstąpili się. Wanacki zobaczy! białego fiata, rozbitego o słup linii tramwajowej. Wóz stał ukosem do jezdni, na masce silnika leżało mnóstwo okruchów z wybitej szyby. Kilka potoczyło się aż do miejsca, w którym wyrysowano kredą na asfalcie zarys ludzkiej sylwetki.
— Jechali bez pasów. Drzwi się otworzyły przy uderzeniu — wyjaśnił towarzysz Wanackicgo — i tego. który siedział obok kierowcy, wyrzuciło na jezdnię.
—Żyje?
— Żył w każdym razie, kiedy przyjechała karetka. Zabrali go do szpitala na Lindleya.
— A kierowca?
— Miał więcej szczęścia. Złamana ręka i szok. Też go wzięli do poskładania. Zostawili nam tylko tego ręką wskazał otwarty bagażnik, nad którym stal reflektor.
Wanacki pochylił się. W bagażniku leżały zwłoki mężczyzny około czterdziestki, o śniadej, ale posi- niałej twarzy z dużą. ja śniejszą blizną na czole i ciemnych, kędzierzawych włosach. Na jego policzkach widniały, wyraźne w świetle reflektora śwież e, ledwie przyschnięte ślady zadrapań. Miał na sobie czarną, skórzaną kurtkę, porozdzieraną w kilku miejscach. Wyglądał na południowca. Włoch? Arab? Turek? Wszystko było możliwe.
Obok głowy mężczyzny stał blaszany prostokąt z cyfrą:

jeden. Wanacki rozejrzał się, szukając wzrokiem fotografa i techników z ekipy śledczej.

— Skończone? — zapytał.

Fotograf przytaknął,

— Zrobiłem go ze wszystkich stron. Zbliżył się lekarz, dotąd palący nie opodal papierosa. Zwrócił uwagę na obrzmienie na szyi mężczyzny.

— Nie żyje przynajmniej od paru godzin. Najprawdopodobniej uduszony.

Na serdecznym palcu lewej ręki denata widnia! jaśniejszy ślad. „Jak po obrączce, sygnecie”? — pomyślał Wanacki. Zaczął szukać dokumentów, ale nie znalazł. Raz jeszcze uważnie przyjrzał się zwłokom. Pod paznokciami dostrzegł w silnym świetle reflektora kilka drobnych włosków. Zwrócił na nic uwagę technika.

Na tym się na razie skończyło. Brakowało dokumentów denata, nie znaleziono również pieniędzy. W zestawieniu z jaśniejszym śladem na palcu sugerowało to tło rabunkowe morderstwa. Coś się tu jednak nic zgadzało. Dlaczego bowiem pozostawiono na ręce mężczyzny złoty szwajcarski zegarek „Omega"?

Wanacki przejrzał jeszcze raz zdjęcia, wykonane przy cmentarzu na Młocinach i zadzwonił do aresztu, gdzie przebywał kierowca białego fiata.

Tylko tego człowieka mógł na razie przesłuchać. Pasażer fiata uderzył głową o bruk, wypadając z wozu i dotąd nic odzyskał przytomności. Wanacki ustalił tylko, że ranny nazywa się Janusz Kamiński, pseudonim „Cygan", notowany, karany, ostatni wyrok: rok i sześć miesięcy pozbawienia wolności, odsiedziany w zakładzie karnym w Iławie.

Kierowcy fiata złożono już złamaną rękę. Kiedy go wprowadzono, miał na niej gips i trzymał ją na temblaku. Na

jego twarzy matowa! się wyraz bólu i upór, z którym przyszedł na przesłuchanie.

I rzeczywiście, przez pierwsze pół godziny to milczał, to odpowiadał monosylabami. Legitymacja, którą nosił w kieszeni, zaświadczała wprawdzie, że Zbigniew Bednarek, lat siedemnaście, jest uczniem zasadniczej szkoły samochodowej w Warszawie, lecz innych informacji brakowało. Na pytanie natomiast, czy zna człowieka, którego zwłoki znaleziono w bagażniku samochodu. Bednarek miał stale jedną jedyną odpowiedź: owego człowieka nie zna i nigdy go przedtem nie widział.

Potem jednak język mu się trochę rozwiązał i zeznał, że: ... *przechodząc wieczorem z Januszem Kamińskim — „ Cyganem " — przez plac Teatralny, zauważyliśmy przypadkowo na parkingu białego fiata z uchylonym bocznym okienkiem. Skorzystaliśmy z okazji i postanowiliśmy się przejechać. Na Młocinach wpadliśmy w poślizg. Ani ja, ani „ Cygan" nie mieliśmy pojęcia, ze w bagażniku znajduje się trup.*

Czy mógł powiedzieć coś innego? „Cygan” nigdy nie darowałby mu, że nie umie utrzymać języka za zębami.

Bajeczka była tak naiwna, a jej fabuła szyta tak grubymi nićmi, że Wanacki nawet sie nic wysilił na udawanie, iż w nią wierzy. W ten sposób jednak nadal tkwi! na początku drogi. Nie wiedział, kim był zabity mężczyzna, dlaczego i w jakich okolicznościach zginął, kto umieścił jego zwłoki w bagażniku białego fiata, dokąd je wieziono? A przede wszystkim — kio był mordercą? Musiał poszukać punktu zaczepienia.

Spojrzał na Bednarka. „Chłopak kłamie, to oczywiste — pomyślał. — Wszystko musiało wyglądać inaczej. Ale jak?"

— Otwarte okienko, powiadasz? A może do tego jeszcze kluczyk w stacyjce, żeby już była pełna wygoda? — zakpił. — Kto ci, Bednarek, uwierzy?

Z pliku odłożonych na bok zdjęć wybrał jedno i podał je

Bednarkowi.

— A to? — zapytał. — Też nie wiesz, co to? Fotografia pokazywała żelazny pręt, znaleziony w rozbitym fiacie, na podłodze, pod tylnym siedzeniem.

Bednarek wzruszył ramionami.

—Nie moje.

— A czyje? — zapytał Wanacki. — „Cygana'" pewnie też nie? Nigdy czegoś takiego nie widziałeś i nawet nie wiesz, do czego to służy. Mam rację? Bednarek oblizał wargi. Chciało mu się pić, bolała go ręka i nie wiedział, co powiedzieć. Gdyby tak „Cygan" mógł mu coś doradzić...

— No więc ci powiem. Otóż takim prętem bardzo ładnie podważa się boczne okienka w samochodach. Jeden fachowy ruch i wóz stoi otworem, Powiem ci jednak coś więcej. Za pomocą takiego pręta otworzyć mo ż na również i bagażnik. Po to na przykład, żeby umieścić w nim jakiś bardzo kłopotliwy ładunek. Na przykład czyjeś zwłoki... Co ty na to? Chyba nie zapomniałeś, dlaczego teraz ze sobą rozmawiamy? Wieźliście w samochodzie trupa — ukryć się nie da. A więc i ty, i twój kolega Kamiński, obaj jesteście podejrzani o zabójstwo. Widzisz, jak sprawa wygląda? Fatalnie, wcale cię nie oszukuję. No i mnie się już nie chce słuchać tych twoich wszystkich kłamstw.

Bednarek poderwał się przez moment sprawiał wrażenie, że chce coś powiedzieć. Po chwili jednak znów opadł na krzesło i zapadł w milczenie.

W istocie rzeczy gorączkowo rozważał, co robić. Ten gliniarz miał rację. Wpakowali się obaj z „Cyganem" wyjątkowo paskudnie i trzeba teraz dobrze pogłówkować, jak się z tej całej afery wyplątać najmniejszym kosztem. Przez moment zastanowił się. co „Cygan" by zrobił na jego miejscu. Doszedł do wniosku, że myślałby przede wszystkim o własnej skórze i zanim go nie opadły inne wątpliwości, powiedział:

— „Cygan" i ja...

II

Biały fiat, w którego bagażniku znaleziono zwłoki mężczyzny, był zarejestrowany w Warszawie, w dzielnicy Mokotów, na nazwisko Jerzego Tomczyka. Wydział Komunikacji z Mokotowa przekazał Wanac- kiemu adres, pod który Wanacki wybrał się po południu, wkrótce po przesłuchaniu Bednarka.

Od samej komendy aż do Rakowieckiej jechał wolno, w sznurze samochodów godziny szczytu. Dopiero tutaj zrobiło się luźniej, ale też i Wanacki musiał już skręcać..

Odnalazł jedną z niewielkich, bocznych ulic. Prezentowała nie zniszczoną, o dziwo, i zachowaną do dziś w mało zmienionym stanie przedwojenną zamożność niektórych środowisk. W tych trzy- i czteropiętrowych kamienicach prawdopodobnie mieszkali przedtem lekarze, adwokaci, ministerialni urzędnicy. Ale i teraz chyba także, zważywszy choćby liczbę aut, zaparkowanych przy chodnikach, lokatorom musiało się wie ść, mimo kryzysu, stosunkowo jeszcze nic najgorzej.

Choć z trudem, Wanacki wcisnął jednak swoją ładę w jakąś wolną lukę i wysiadł. Za ciemnymi dębowymi drzwiami, które otworzył, znajdowała się przestronna klatka schodowa o szerokich, białych jak z marmuru schodach. Na dole widniał spis lokatorów. Sprawdził nazwisko: Jerzy Tomczyk. Zgadzało się.

Mieszkanie znajdowało się na III piętrze. Na drzwiach nie było jednak żadnej wizytówki, a tylko wyraźny ślad po niej — jakby ją odkręcono stosunkowo niedawno.

Zadzwonił. Otworzyła mu po dłuższej chwili trochę zdyszana, dość młoda kobieta, ubrana w jaskrawozielony sweter i czarne sztruksowe spodnie. Ciemne włosy przylegały do twarzy, ładnej, lecz despotycznej, o wąskich, zaciętych

ustach i spiczastym podbródku.

Obejrzała legitymację Wanackiego i przez wysoki, obudowany boazerią przedpokój wprowadziła go do dużego pokoju z rzeźbionymi gdańskimi meblami. Nawet jeżeli były tylko imitacją, musiały kosztować majątek.

Na podłodze, obok kredensu, leżał zwinięty w rulon dywan i stały dwie zapakowane walizki.

— Przeprowadzka, wyjazd? — zagadnął.

— Coś w rodzaju przeprowadzki — odparła, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia. Czarna grzywka nad jej czołem wyglądała jak przyklejona.

Podsunęła Wanackiemu krzesło. Sama usiadła obok, opierając ręce o stół. Dłonie miała kształtne, o białej skórze i długich, wymanikiurowanych paznokciach, pociągniętych ciemnoczerwonym, prawie wiśniowym lakierem. Wokół jednego z palców biegł, zachodząc aż na paznokieć, wąski pasek plastra opatrunkowego.

— Chodzi o Jerzego Tomczyka — zaczął Wanacki.

— Ach. tak — powiedziała jakby z tajoną niechęcią. — Nie ma go.

Wanackiemu przypomniał się świeży ślad po wizytówce.

— Ale czy tu mieszka? - - zapytał.

— Mieszka — skwitowała krótko,

— Pani jest jego...? Nie dała dokończyć.

— Byłą żoną — wtrąciła szybko. I przedstawiła się: — Ilona Tomczyk. Miesiąc temu zapadł wyrok rozwodowy w sądzie, a obecnie, jak sam pan widzi, rozchodzimy się również i w sensie lokalowym.

— Czy pan Tomczyk jest właścicielem białego fiata, numer rejestracyjny...? —zapytał Wanacki.

Oczy kobiety rozbłysły.

— Był właścicielem — odparła z naciskiem. -Teraz wóz należy do mnie. Pan Tomczyk nie ma już do niego żadnych praw. Taka była umowa w sądzie przy sprawie rozwodowej.

On zostaje w mieszkaniu, a ja biorę fiata i meble.

— Ale wóz nadał figuruje na męża — zauważył Wanacki. — Dotąd go pani nie przerejestrowała na

siebie.

Jej usta zacisnęły się w jeszcze węższą kreskę.

— Owszem, ale mam zamiar to zrobić już w tym tygodniu. Dłużej czekać nie będę! 1 tak już dosyć... — urwała, jakby speszona, że powiedziała za dużo.

— Więc kto korzystał ostatnio z wozu? Pani czy mąż?

— Były mąż — poprawiła. — Oczywiście, że on! — dorzuciła z nic tajoną wrogością. — Przeciągał sprawę bez końca! Wciąż się nazywało, że lada chwila mi go odda. bo sam ma już upatrzony jakiś inny — ale nie oddawał.

— Kiedy pan Tomczyk brał fiata po raz ostatni?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

— Nie wiem. Tak naprawdę już tu nie mieszkam— dodała. — Przed paroma dniami przeniosłam się gdzie indziej, a teraz, jak pan ju ż pewnie zauważył, kończę pakować rzeczy i meble. Pana Tomczyka — czy celowo się aż tak dystansowała od swego byłego małżonka? — widziałam ostatni raz... — przesunęła ręką po twarzy — ... w niedzielę. W ostatnią niedzielę.

— Czyli przedwczoraj? — upewnił się Wanacki.

— Tak. Byliśmy razem na giełdzie samochodowej. Postawiłam sprawę kategorycznie. Albo Jurek — tym razem użyła imienia — zdecyduje się w końcu na jakiś wóz dla siebie, a mnie odda fiata, albo też oddam sprawę do komornika i wtedy będzie przymusowa egzekucja. A żeby się już więcej nie mógł wykręcać, pojechałam razem z nim.

Nawet w ciągu tej krótkiej rozmowy Wanacki wyczuł, że Ilona lubi rządzić, a nie lubi sprzeciwu.

— Więc od niedzieli biały fiat przeszedł w pani ręce?

Pokręciła przecząco głową.

— Nie. Umówiliśmy się z moim byłym mężem, że dopiero

dzisiaj odbiorę od niego kluczyki i książkę wozu. Jurek upatrzył sobie co prawda wreszcie na giełdzie odpowiedni samochód, fiata koloru koral, ale dopiero wczoraj miał go odebrać. To znaczy — poprawiła się kupić. Od jakiegoś faceta z Międzylesia. Ten facet ma lam podobno warsztat samochodowy — wyjaśniła. — Ale ani nazwiska, ani adresu nic znam.

— Więc od niedzieli ju ż pani Tomczyka nie widziała?

— Nie.

— I nie wie pani również, czy pojechał do Międzylesia po samochód?

— Nie.

Dopiero teraz zainteresowała się:

— A... o co właściwie chodzi?

— Czy ma pani mo że jakieś zdjęcie męża? Chciałbym zobaczyć...

Wstała z pewnym ociąganiem, wyszła do drugiego pokoju, ale wróciła z odpowiedzią, że nic ma.

— Niestety, pochował wszystko w biurku, pozamykał szuflady i zabrał klucze.

— Trudno — rzekł Wanacki. Wyjął z aktówki fotografie, zrobione przy cmentarzu na Młocinach.

— Czy zna pani tego człowieka? — zapytał oficjalnie. Przez chwilę trzymała zdjęcie przed sobą.

— Tak. poznaję go, to mój były mąż, Jerzy Tomczyk.

III

— Co pan chce wiedzieć? — zapytał dyrektor. Siedział za dużym biurkiem, a na jego szczupłej, emanującej zdecydowaniem twarzy malował się wyraz pewności siebie, jaki daje władza. Długo pełnił już różne kierownicze funkcje, zdążył do niej przywyknąć.

Sięgnął w kierunku aparatu dyspeczerskiego.

Przedsiębiorstwo musiało na co dzień przekonywać kontrahentów, że jest nowoczesne. Prowadziło ono bowiem między innymi tak zwane eksportowe budowy. Nacisnął jeden z klawiszy i tonem szefa nawykłego do posłuchu zarządził:

— Tu Leśniewski. Niech przyjdzie do mnie pani Bartczak z teczką personalną inż yniera Tomczyka. Tylko natychmiast — uprzedził ostrzegawczo i nie czekając na odpowiedź wyłączył aparat. Zabębnił niecierpliwie pakami po biurku, a następnie powiódł oczami po ścianach, na których wisiały kolorowe, podświetlone zdjęcia zapewnie polskich budów wśród egzotycznych krajobrazów, piasków pustyni i palm.

Nie czekali długo. Wkrótce weszła do pokoju zadbana brunetka w wieku balzakowskim. o pulchnych, upierścienionych rękach i obfitym biuście. Podała dyrektorowi twardy, ciemny skoroszyt, obdarzyła Wanackicgo dłuższym od przelotnego zainteresowaniem i zastygła obok biurka w wyczekującej pozie.

Nieprzyjemnie się jednak rozczarowała.

— Pani mo że już iść - rzekł szorstko dyrektor, a kiedy wyszła, chyba jednak trochę urażona, nałożył okulary.

— Rocznik czterdziesty pierwszy — oznajmił Czterdzieści dwa lata. Wyglądał na młodszego - ponownie włożył okulary, które przedtem na moment zdjął. — Absolwent Politechniki Warszawskiej. Magister inżynier budownictwa lądowego. Dyplom z wynikiem co prawda tylko dostatecznym, ale pracownikiem był dobrym... — przerzucił kilka kartek. — U nas został zatrudniony dziesięć lat temu. Przez jakiś czas pracował w kraju, także na obiektach priorytetowych. Udzielał się społecznie. Awansował. Dostał kilka nagród, dyplomów, odznaczenie. Jednym słowem —spojrzał na Wanackicgo spod okularów — sprawdził się. Wys łaliśmy go więc za granicę, na jedną z naszych eksportowych budów w... — wymienił nazwę kraju. — Wrócił stamt ąd bodaj jesienią

ubiegłego roku. Tak przypomniał sobie — w listopadzie. W sumie przebywał tam trzy lata. I tak, dość długo.

— Odwołaliście go? — zapytał Wanacki.

— Skończyła się budowa, a wraz z nią i jego kontrakt. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Pracujemy tam wprawdzie przy następnych obiektach, ale — nie muszę wyjaśniać — chętnych na wyjazd jest zwykle więcej niż mo ż liwości. W związku z tym właśnie — uśmiechnął się z poczuciem wyższości człowieka wtajemniczonego — prowadzimy szczególnie wyważoną politykę personalną. Każda decyzja, czy to o wysłaniu za granicę, czy też o odwołaniu stamt ąd, jest wnikliwie analizowana.

— Ta druga ewentualność też się zdarza?

— Oczywiście! Bywają różne przypadki. Czasem odwołania żąda kontrahent, czasem ktoś zachoruje albo nie może. mimo wszystko, wytrzymać morderczych warunków klimatycznych. Niektórzy się nic sprawdzają lub — bo bywa i tak — zawodzą zaufanie. Bardzo nic lubimy takich spraw i takich decyzji. Ale cóż, trudno, zdarzają się sytuacje, w których trzeba je, niestety, podjąć. Inżyniera Tomczyka to jednak absolutnie nie dotyczyło, chociaż na tamtej właśnie budowie... — urwał, jakby mimowolnie powiedział zbyt dużo i szybko zapytał: — Czy interesuje pana coś jeszcze?

—Ile zarabiają pracownicy na takich eksportowych kontraktach?

— Różnie — odparł Leśniewski Zależy od warunków kontraktu, kraju, stanowiska, ale przede wszystkim od miernika, jaki będziemy przykładać. Jeśli porównać z innymi zagranicznymi firmami, a takzc uwzględniając rodzaj pracy oraz warunki klimatyczne — bardzo irednio. Ale u nas, w Polsce, wchodzi przecież w grę cała masa różnych innych czynników. Czarnorynkowy kurs dolara, możliwość posiadania własnego konta dewizowego, kupna mieszkania przez „Lokum", zakupy w ,,Pewexie". ewentualny przywóz

stamtąd złota czy innych dóbr, a nawet i sama szansa wyjazdu za granicę.

— Więc i Tomczyk również — zauważył Wanacki — zapewne się dorobił?

— Interesuje pana bardziej szczegółowo jego płaca? — zagadnął dyrektor Przekartkował zawartość skoroszytu i wyciągnął stamt ąd jakiś dokument. — Był zastępcą kierownika budowy. Tu jest jego kontrakt.

— Chciałbym wypożyczyć te akta na jakiś czas — zaproponował Wanacki z nadzieją, że mo że w ten sposób dowie się czegoś więcej o Tomczyku, a więc może natrafi na ślad powodów, dla których go zabito.

Dyrektor przejechał dłonią po przerzedzonych, szpakowatych włosach.

— W zasadzie... -- zaczął. — No. ale cóż, macie prawo, zwłaszcza w takim przypadku... — zamknął skoroszyt i położył go przed Wanackim. który zapylał:

— Czy mógłby mi pan powiedzieć jeszcze coś więcej o Tomczyku? Jakim był właściwie człowiekiem? Może miał wrogów? Przy takich okazjach, jak wyjazd za granicę, wychodzą przecież na jaw różne ludzkie małostki. Może pojechał zamiast kogoś innego?

Dyrektor pokręcił głową.

— Miał wprawdzie, jak zwykle zresztą, konkurencję, ale sam już dbam o to, ażeby takie sprawy raczej nic przedostawały się do wiadomo ści pracowników. I tak jednak nie wszystko daje się utrzymać w tajemnicy. Zdarzają się „przecieki", a w ślad za nimi skargi, pretensje... — westchnął. -Nie jest łatwo.

Mimo wszystko nie wyglądał na niezadowolonego.

— Natomiast trudno byłoby mi scharakteryzować bliżej inżyniera Tomczyka. Nasze przedsiębiorstwo to prawdziwy kolos... Poza tym Tomczyk przebywał przez trzy ostatnie lata za granicą i kontakty osobiste były prawic żadne. W każdym razie spisywał się tam dobrze. Budowa została ukończona i

oddana w terminie, kontrahent nic miał zastrzeżeń. To najważniejsze.— A po powrocie do kraju?

— Po miesięcznym urlopie, który zwykle przysługuje w takich wypadkach, pracował jako zastępca kierownika w dziale koordynacji. Chodzi o koordynowanie całości naszych eksportowych dostaw do budowy kompletnych obiektów — wyjaśnił.

— Kiedy go pan widział po raz ostatni?

— Ja? — powtórzył. — Chyba w piątek, podczas narady, właśnie na temat dostaw na zagraniczne budowy.

— Nie rzuciło się panu wówczas nic w oczy? Może coś mówił? Albo był inny niż zwykle?

— Nie... Nie miałem zresztą czasu, żeby się przypatrywać... Ale... zaraz... — przypomniał sobie ... zdaje się, że mówił coś komu ś na temat kupna samochodu. Niestety, nie pamiętam, co ani też — z kim rozmawiał. W naradzie uczestniczyło mnóstwo ludzi.

— Czy potem spotkał pan jeszcze Tomczyka?

— Nic. ale wiem, że w poniedziałek był w pracy. Zaraz jak tylko dowiedziałem się o... — zająknął się

— ... o wypadku, od razu sprawdziłem.

— O której zwykle kończycie pracę?

— O piętnastej trzydzieści.

— Czy Tomczyk był do końca?

— Trudno to stwierdzić. Zajmował kierownicze stanowisko, więc nie musiał się opowiadać, dokąd i kiedy wychodzi. Mógł opuścić zakład wcześniej, ale równic dobrze mógł zostać po godzinach, jeż eli miał coś do zrobienia.

A więc w niedzielę Tomczyk pojechał na giełdę samochodową i umówił się na poniedziałek z kimś w Międzylesiu. W poniedziałek przed południem był w pracy, a zatem, jeśli rzeczywiście pojechał do Międzylesia, to dopiero po południu.

Wanacki zapisał sobie w każdym razie telefon nie tylko

dyrektora, lecz również kierowniczki działu osobowego przedsiębiorstwa, Agnieszki Bartczak. Już na pierwszy rzut oka wydała mu się urzędniczką dobrze poinformowaną. Tym bardziej więc nasuwało się pytanie, dlaczego dyrektor Leśniewski wyraźnie nic chciał dopuścić jej do głosu.

IV

Cały fronton gmachu pokrywała okładzina i czarnego marmuru, przez co niektórym przypominał solidnie wykonany grobowiec. Nie było to jednak miejsce wiecznego spoczynku, ale bank na placu Powstańców Warszawy.

Dyrektorem banku był opanowany, starszy pan o wyważonych ruchach, który wiedział juz wprawdzie, o co chodzi, ale wolał się jeszcze raz upewnić, oglądając legitymację Wanackiego. Sprawdził, czy wszystkie formalno ści zostały dopełnione, i dopiero wtedy wyjął z szuflady plik papierów.

Z zebranych tam informacji wynikało, że Jerzy Tomczyk był posiadaczem rachunku walutowego, który założył tuż przed wyjazdem za granicę. Równocześnie udzieli! stałego i nieograniczonego pełnomocnictwa do dysponowania wkładem swojej ówczesnej żonie. Ilonie Tomczyk. Stan konta rósł początkowo szybko, stale wspomagany regularnymi wpłatami z zagranicy. Po pewnym czasie jednak wypłaty z konta zaczęły przewyższać wpłaty. Za każdym razem pieniądze podejmowała Ilona Tomczyk — przeważnie w dolarach, rzadziej w bonach pekaowskich.

Po pewnym czasie Jerzy Tomczyk cofnął pełnomocnictwo dla Zony — i nie udzielił go ju ż później nikomu. Od lej pory tylko on sam miał wyłączne prawo dysponowania kontem dewizowym.

„A więc źródło nieprzyjemnie wyschło" — pomyślał Wanacki, ale dyrektor jeszcze nic skończył.

— Ostatnia większa wpłata na rachunek walutowy - zauważył, wertując dokumenty - miała miejsce w listopadzie ubiegłego roku. Ostatnie większe wypłaty — w styczniu oraz przed paroma dniami...

W listopadzie ubiegłego roku Tomczyk wrócił do kraju po trzyletnim kontrakcie za granicą — i wtedy też pewnie przywiózł sporo dewiz, które wpłacił na rachunek walutowy w banku. Na co ich później potrzebował?

Pierwsza z dat, styczniowa wypłata, pokrywała się czasowo z rozwodem Tomczyków. Czyżby tyle zapłacił Tomczyk za zgodę na rozwód? Drugą sumę podjął z konta w ostatni poniedziałek. A zatem — na samochód?

Wanacki rozmyślał o tym wszystkim w oczekiwaniu na urzędniczkę, która w poniedziałek załatwiała Tomczyka w banku. Nareszcie weszła, z twarzą obojętną obojętnością kobiety zmęczonej praca zawodowa i zajęciami domowymi. Oficjalnym tonem poinformowała, że Tomczyk podjął wypłatę w bonach pekaow- skich. Wanacki zapytał, czy mo że pamięta, o której godzinie załatwiała Tomczyka.

Podniosła brwi i zmarszczyła czoło, a następnie odpowiedziała z dosyć zaskakującą pewnością:

— Tuż przed dwunastą.

Musiała zauważyć pewne zdziwienie Wanackiego. skoro szybko dorzuciła:

— Na ogół nie zwracam uwagi na wygląd klientów, ale tego akurat zapamiętałam.

— Czy coś rzuciło się pani w oczy? — zapylał Wanacki.

Przytaknęła.

— Owszem. Portfel. Pan Tomczyk miał szalenie oryginalny portfel. Nigdy dotąd nic widziałam u nikogo czegoś takiego.

— A czy mogłaby pani może opisać wygląd tego portfela? — Wanacki dobrze pamiętał, że przy zwłokach Tomczyka niczego takiego nie znaleziono.

— Zrobiony z zielonej skóry, wytłaczany we wzory — jakieś

kwialy, ornamenty, coś w tym rodzaju. Na wierzchu — złoty lew z okiem z jakiegoś kamienia. Bardzo egzotyczny. I klient też podobny do jakiegoś Araba; śniady, ciemne, kręcone włosy. Początkowo nawcl myślałam, że to cudzoziemiec — ale nie. Polak. A portfel wyjął, żeby schować do niego bony. Kiedy je przeliczał, położył portfel na kontuarze przed okienkiem kasowym, więc miałam czas się przyjrzeć.

Już chciała odejść, ale Wanacki zapylał ją jeszcze, czy nie zauważyła czasem u Tomczyka obrączki albo sygnetu na palcu. Odparła, że sobie nie przypomina.

—Na pewno pamiętam tylko ten portfel. „To już coś — pomyślał Wanacki. wychodząc z banku. — Przynajmniej wiem, że w poniedziałek w południe Tomczyk miał przy sobie oryginalny zielony portfel z lwem na wierzchu, a bonami pekaowskimi w środku. Potem miał jechać do Międzylesia, kupić samochód. Ruszajmy zatem i my tym tropem".

Na razie jednak wrócił do Pałacu Mostowskich i z biura przepustek zabrał do siebie, do pokoju na górę. Agnieszkę Bartczak — kadrową z przedsiębiorstwa, w którym pracował Tomczyk.

Była ubrana co prawda inaczej niż ostatnim razem, w przedsiębiorstwie, lecz w identycznym stylu — kobiety, która ma co włożyć. Wcale nie wydawała się zaskoczona, ani speszona. Już od drzwi rozejrzała się z zainteresowaniem, jej wzrok niczym kamera rejestrował wszystkie szczegóły. Wyglądała na osobę bystrą i pewną siebie, czyli laką, jakiej właśnie Wanacki potrzebował.

Ponieważ przywitała go jak starego znajomego, on sam również nawiązał do poprzedniego spotkania u dyrektora.

— Żałuję, że pani wtedy nie została — zaczął dyplomatycznie.

— Ach! — powiedziała, prawie się krygując. — Pan dyrektor na pewno udzielił panu wszystkich niezbędnych informacji— zarówno wyraz jej twarzy, jak i intonacja głosu kazały jednak

przypuszczać, iż wcale nie jest o tym do końca przekonana.
— W to nie wątpię — przyznał Wanacki. — Ale...
Wyraz zawodu, jaki pokazał się na twarzy kadrowej, raptownie zniknął.
— ... ale domyśla się chyba pani. że chodzi o informacje nic tylko oficjalne — ostatnią część zdania zaakcentował celowo w sposób szczególny, sugerując, iz od osoby wtajemniczonej spodziewa się jednak czegoś więcej.
Widocznie pochlebiło to jej próżności i wysokiemu mniemaniu o sobie, ponieważ domyślnie się uśmiechnęła i równic domyślnie skinęła głową.
Mimo to Wanacki zdecydował się na okrężną na razie drogę.
— Na jak długo zawiera się z reguły kontrakty na pracę za granicą?
— Różnie — odparła. — Na rok, dwa, trzy, czasem więcej. Znam ludzi, którzy siedzą na zagranicznych budowach nieraz po sześć, siedem lat — choć oczywiście nie na tych samych. Po prostu jak się jedna skończy, przenosi się ich na następne.
— Inżynier Tomczyk był na takim kontrakcie przez trzy lata. czy to długo czy krótko?
— Sporo, Chciał zresztą zostać dłużej, zabiegał o przedłużenie kontraktu, ale mu się to nic udało, więc musiał wracać.
— Tak mu zależało, żeby zostać?
— Ogromnie! Ale cóż, mimo że nawet wygryzł swojego szefa, kierownika tamtej budowy, i tak nie wskoczył, jak sobie wyobrażał, na jego miejsce. Och! — wykrzyknęła z udanym przestrachem. — Czy ja panu czasem nie zdradzam jakichś tajemnic przedsiębiorstwa? -- w jej oczach nic pojawił się jednak choćby cie ń obawy.
— A kto był tym kierownikiem?
— Inżynier Jedliński — odparła. — Tomczyk był za granicą jego zastępcą. Tyle. że na samym początku zeszłego roku...

tak, dobrze mówię, to było w styczniu albo w lutym zeszłego roku... Jedlińskiego odwołano z powrotem do Polski.

— Co Tomczyk miał z tym wspólnego? Zniżyła konfidencjonalnie głos.

— Mnie się osobiście wydaje, że bardzo dużo. Czy wie pan, z jakiego powodu odwołano Jedlińskiego? Z powodu donosu! Ktoś z tamtej budowy napisał na Jedlińskiego anonim. Że niby jego zachowanie za granicą nie licuje z postawą obywatelską, że stwarza sytuacje zagrażające bezpieczeństwu całej polskiej załogi i nareszcie — że istnieje podejrzenie zdradzania kontrahentowi tajemnic państwowych, czyli działanie na szkodę kraju. Mówię oczywiście w skrócie, bez szczegółów, ale takie były główne zarzuty.

— Skąd pani wie? Uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Wiem, bo czytałam. Ten list z zagranicy trafił najpierw do nas, do działu osobowego.

—Nie do dyrektora?

— Nie. To już prawie reguła. Ci, którzy piszą donosy, chcieliby, żeby je przeczytało jak najwięcej osób i żeby sprawa się rozniosła, ponieważ dopiero wtedy osiągają swój cel. Zawsze zostaje jakiś osad. Też metoda, prawda?

— I dyrektor odwołał inżyniera Jedlińskiego do kraju?

— Tak. Trudno mu się dziwić. W końcu zarzuty były poważne, a sprawdzanie zawsze trwa długo. Przez ten czas mogą się wydarzyć różne rzeczy. Nieraz i na zimne trzeba dmuchać — użyła identycznego określenia, jak przed nią dyrektor. — A co dopiero w takim przypadku!

— Jak to się ostatecznie skończyło? Zarzuty się potwierdziły?

— Tego już nie wiem. Były tylko plotki i pogłoski.

— Więc odwołano człowieka bez zbadania faktów? Wystarczył jeden anonim?

Obruszyła się.

— Ależ skąd! Pojechało tam od nas dwóch ludzi. Tylko pan

wie, jak bywa; naprawdę nieraz trudno sprawdzić. Jeden mówi to, drugi co innego. Co dopiero za granicą, gdzie ludzie jeszcze bardziej boją się narazić.

— W każdym razie decyzji nie cofnięto?

-— Nie. Inżynier Jedliński już nic wrócił na zagraniczną budowę.

— Czyli anonim spełnił zadanie... Popatrzyła na Wanackiego z wahaniem, czy zdradzić mu kolejne tajemnice przedsiębiorstwa. Nareszcie jednak sprostowała:

— Anonim nie był najważniejszy. Jakby Jedliński miał nadal poparcie, to i sto donosów by nie zaszkodziło, chyba żeby się wydarzyło coś naprawdę poważnego. Myśli pan, że nie mamy podobnych spraw? Ludzie kochają podgryzać swoich bliźnich — dodała filozoficznie — a już zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o posadę za granicą.

— Wiele pani wie... — zauważył z przekonaniem Wanacki.

— Długo tu już pracuję. Zdążył się człowiek napatrzyć na to i owo. Jedlińskiego bardzo forował nasz wicedyrektor. Nie wiem," na jakiej zasadzie, pewnie kontaktów i znajomo ści prywatnych, ale tak było. Bez niego Jedliński na pewno nic załatwiłby sobie kontraktu za granicą. Tak, on go przede wszystkim forsował na stanowisko kierownika budowy. No i nareszcie przepchnął.

„Prowadzimy szczególnie wyważoną polityk ę personalną. Każda decyzja jest wnikliwie analizowana" — przypomniał sobie Wanacki słowa dyrektora przedsiębiorstwa.

— Potem jednak — ciągnęła Agnieszka Bartczak - naszego „wice" zdjęto ze stanowiska i przeniesiono gdzie indziej, bo coś pozałatwiał nic tak, jak trzeba, wynikły straty. A że nie był to „kopniak w .górę", tylko raczej w dół, .to i Jedliński od razu stracił poparcie i zaplecze. Na dodatek nasz szef naczelny i wiceszef bynajmniej nic darzyli się sympatią. Zdaje się, że naczelny obawia! się, że zastępca chce wskoczyć na jego stołek i szukał czegoś na niego. A że Jedliński był

człowiekiem wicedyrektora, więc sam pan rozumie...

Nie musiała kończyć. Jak tylko nadarzyła się okazja, dyrektor skorzysta! z pierwszego lepszego pretekstu. Inni również wyczuli, skąd wiatr wieje. Cóż jednak Tomczyk miał z tym wspólnego?

Spytał o to Agnieszkę Bartczak.

—Tomczyk? — powtórzyła. — Ależ to właśnie on napisał donos na Jedlińskiego!

— Skąd pani wie? Zastanowiła się. ale tylko moment.

— A któżby inny? W końcu dobrze się przyjrzałam temu listowi. Pisany był na maszynie, to raz — zagięła pulchny palec — a tylko niewiele osób miało tam dostęp do maszyn. Po drugie; któż inny znałby tyle szczegółów, podanych w anonimie? Po trzecie wreszcie — Tomczyk miał wielką ochotę na stanowisko kierownika budowy, nie tylko ze względu na awans. Liczył, że wtedy powierzono by mu jakąś następną inwestycję za granicą i w ten sposób zostałby tam dłużej.

— Ale on sam... Przerwała Wanackiemu.

— Skądże! Kto by się dobrowolnie przyznawał do takich rzeczy?

— Czy Jedliński wiedział, z jakiego powodu go odwołano?

Zastanowiła się.

— Oficjalnie — raczej nie. Nasz dyrektor bardzo niechętnie dyskutuje na takie tematy. Komunikuje po prostu, że ktoś zostaje odwołany ze względu na aktualną sytuację w przedsiębiorstwie — i koniec. Uważam zresztą, że słusznie. Jakby się zaczął wdawać w wyjaśnienia, w szczegóły, dopiero zrobiłaby się atmosfera!

A więc Jedliński podobno nie orientował się. dlaczego został odwołany z zagranicznej budowy. Nie wiedział o anonimie, a tym samym i o autorze donosu. Jak jednak było naprawdę? Czy rzeczywiście nie znalazła się jakaś „życzliwa dusza", skłonna udzielić Jedlińskiemu stosownych

informacji?
— Czy po przyjeździe do kraju Jedliński wrócił do pracy w waszym przedsiębiorstwie, czy przeszedł gdzie indziej?
— Początkowo odgrażał się, że zmieni pracę, ale w końcu został. Nie wiem - wzruszyła ramionami mo że dyrektor coś mu naobiecywał, na przykład jakiś nowy kontrakt zagraniczny? W każdym razie pracuje u nas do dziś. Tyle, że zamiast w tropiki, jeździ na delegacje po Polsce. Jest zastępcą kierownika biura projektowania — wyjaśniła.
„Zarzuty z anonimu widać nie bardzo się potwierdziły — pomyślał Wanacki — skoro Jedliński nie tylko został, ale i na dodatek na kierowniczym stanowisku."
— Czy często zdarzały się okazje, że ci dwaj: Tomczyk i Jedliński, kontaktowali się ze sobą? Jakie były stosunki między nimi?
—Na pewno nieraz się spotykali — odpowiedziała — ponieważ działy koordynacji i projektowy współpracują ze sobą. Poza tym są różne narady, konferencje — jak w każdym zakładzie. Co do stosunków między nimi - naprawdę trudno mi powiedzie. Przez kilka lat nic widziałam ani Tomczyka, ani Jedlińskiego. A jak było ostatnio — niestety nie wiem.
Wydawała się tym rzeczywiście szczerze zmartwiona.

V

Wkrótce po wyjściu Agnieszki Bartczak dostarczono Wanackiemu kopertę z Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej. Wewnątrz znajdował się pełny protokół sekcji zwłok Tomczyka. Potwierdzano hipotezę ze wstępnych oględzin. Przyczyną śmierci stało się uduszenie wskutek zadzierzgnięcia, którego ślady znaleziono na szyi denata w postaci szerokiej bruzdy. Było jednakże jeszcze coś; ukryta pod włosami rana tłuczona głowy w okolicach lewej skroni. Mogła sugerować, że Tomczyk najpierw został

ogłuszony, a dopiero potem zamordowany.

Wanacki przejrzał również przepisane z taśmy magnetofonowej zeznania Bednarka, kierowcy białego fiata, zatrzymanego po wypadku na Młocinach.

Janusz Kamiński — „Cygan" — wyjaśniał Bednarek — zwrócił się do mnie z propozycją pomocy w kradzieży samochodu; chodziło konkretnie o fiata 125 p. Moje zadanie polegało na ubezpieczaniu „ Cygana", to znaczy na ostrzeżeniu go w porę w razie czego oraz na odprowadzeniu następnie samochodu do Łomianek - dokładnego adresu nie znam. Cygan wiedział, gdzie to jest i miał mnie holować aż na miejsce. Obiecał mi za to wszystko trzydzieści tysięcy złotych... W poniedziałek wieczorem pojechaliśmy razem na płac Teatralny. Kiedy wysiedliśmy z autobusu. Kamiński powiedział, żebym poszedł pod filary opery i tam na niego chwilę poczekał. Sam poszedł na parking. Na parkingu Mali' dużo samochodów osobowych i parę wycieczkowych autokarów. Po pewnym czasie Kamiński wrócił. mówiąc, że znalazł samochód, o jaki mu chodzi. Poszliśmy na parking, gdzie ,,Cygan" — raz używał nazwiska, kiedy indziej tylko pseudonimu kolegi —*pokazał mi białego fiata...*

— *Widziałeś go wtedy z bliska?* — zapylał wówczas Wanacki.

— *No, tak, z bliska.*

— *Nic ci się nie rzuciło w oczy?*

— *Nic... Chyba tylko to, że wóz był bardzo brudny, cały zabłocony...*

Zgadzało się. Podczas oględzin samochodu stwierdzono na oponach, na karoserii i podwoziu świeże błoto, które aż do wypadku w Młocinach nie zdążyło zaschnąć i zeskorupieć. Identyczne błoto oblepiało jednak i buty Tomczyka. Zabrudzone nim było również, miejscami mocno, jego ubranie. A więc po jakichś błotnistych peryferiach wędrował

nic tylko biały fiat, lecz i jego właściciel. Błoto na ubraniu sugerowało, że gdzie ś tam przewrócił się i upadł — albo raczej, że go przewrócono.

— Co było później? — pytał Wanacki.

— Kamiński podważył boczne okienko fiata specjalnym prętem, który miał pod płaszczem.

— Widziałeś?

— Tylko z daleka, ponieważ „Cygan" kazał mi odejść, patrzeć, czy nikt nie idzie i w razie czego dać umówiony sygnał. Potem pomachał mi ręką na znak. że mam szybko podejść. Kiedy przyszedłem, zobaczyłem, że ,, Cygan" siedzi już na miejscu obok kierowcy, a ja mam prowadzić.

— Dlaczego ty, a nie on?

— Nie miał prawa jazdy, zabrali mu za jazdę po alkoholu, bał się ryzykować. Powiedział, że jeśli ktoś nas zatrzyma, mam pokazać swoje prawu jazdy i powiedzieć, że prowadzę wóz wujka. Książkę wozu znaleźliśmy w skrytce.

Wanacki chciał wiedzieć, czy Kamiński od razu zapowiedział wyprawę na plac Teatralny po tego właśnie, konkretnego fiata. Od odpowiedzi wicie zależało. Jeżeli tak. wszystko mogło być z góry ukartowane. „Cygan" i Bednarek, świadomi czy też nie świadomi zawartości bagażnika białego fiata..mieli za zadanie odtransportować auto z placu Teatralnego na umówione miejsce w Łomiankach. Jaka szkoda, że Bednarek nie wiedział lub nie chciał powiedzieć — dokąd. No i kto zostawił wcześniej fiata na placu Teatralnym?

— Od początku wspominał o placu Teatralnym i o fiacie 125 p —odparł Bednarek — ale nic poza tym.

— Ale dlaczego właśnie u placu Teatralnym? W Warszawie jest przecież dużo różnych parkingów...

Bednarek nie wiedział.

— Może dlatego, że przedstawienia w operze trwają dłużej i kończą sie później niż w innych teatrach czy w kinach,

więc jest więcej luzu czasowego, zanim ktoś zauważy znikniecie samochodu. Poza tym tam jest duży. stale pełny wieczorami parking. Wiele samochodów, a mało ludzi.

—Czyli po prostu łatwiej ukraść samochód?

— No tak, chyba łatwiej... Po co się dałem na to namówić?...

Ze zwieszoną głową Bednarek grał podczas tego przesłuchania rolę ofiary nieudanej przyjaźni, która go sprowadziła na manowce. Ale czy tak było naprawdę?

Wanacki odłożył protokół i sięgnął po spis telefonów wewnętrznych komendy. Odnalazł numer naczelnika wydziału kryminalnego, podpułkownika Piotra Zakrzewskiego, któremu już wcześniej przekazał roboczą kopię zeznań Bednarka. Osoba Bednarka, a jeszcze bardziej jego wspólnika. Janusza Kamińskiego, pseudonim „Cygan", wzbudziła niekłamane zainteresowanie wydziału kryminalnego. Wydział zajmował się obecnie intensywnie kradzieżami samochodów, które ginęły z parkingów przed kinami, teatrami i restauracjami. Warszawskie popołudniówki. ..Express" i ..Kurier" sugerowały istnienie „samochodowego gangu". W polskich realiach określenie wydawało się mocno na wyrost — niemniej podobie ństwo metody poszczególnych kradzieży rzeczywiście sugerowało działanie zorganizowanej złodziejskiej szajki.

Zakrzewski miał jakiegoś interesanta, lecz przewidywał, że będzie wolny mniej więcej za pół godziny. Przez ten czas Wanacki zdążył zejść do stołówki na obiad. Były luksusy — zupa pomidorowa z ryżem, kotlet mielony z marchewką i kompot z jabłek. Wypaliwszy jeszcze papierosa poszedł do Zakrzewskiego wywiedzieć się o ewentualne informacje na temat Kaminskiego i Bednarka. Musiał chwytać wiele nici naraz.

Zakrzewski, który był mężczyzną około pięćdziesiątki, o wyglądzie wojskowego zakochanego w dyscyplinie i musztrze, przywitał Wanackiego energicznym uściskiem

dłoni. Następnie wygłosił opinię, iż sposób dokonania kradzieży fiata z placu Teatralnego daleko bardziej wskazuje na działanie zorganizowanej grupy niż na amatorszczyznę.

— Takich metod ani takich narzędzi nowicjusz nie zastosuje — powiedział. Wątpliwe także, żeby działali tylko na własną rękę. W takich grupach jeden kradnie, inny przygotowuje wozy odpowiednio do sprzedaży poprzez zmianę numerów silnika i podwozia, nową tapicerkę, przelakierowanie — a jeszcze inny sprzedaje, przeważnie na giełdach samochodowych.

— Jeżeli przyjmę taką wersję — rzeki Wariacki -to muszę wykluczyć współudział Kamińsk icgo i Bednarka w zabójstwie Tomczyka, a przyjąć, że wydarzył im się po prostu wyjątkowy, pechowy wypadek zawodowy. Ukradli samochód z trupem w bagażniku i jeszcze na dodatek go rozbili.

— Tak też uważam. W zeznaniach Bednarka, kłamliwych jak mi się wydaje w ukazywaniu własnnej roli w kradzieży fiata, pewne szczegóły wyglądają jednak na prawdziwe. Na przykład włamanie przez boczne okienko przy użyciu dość charakterystycznego narzędzia, które zresztą później odnałeziono w samochodzie. Albo dostawa wozu na umówione wcześniej miejsce. Oczywiście, mogę się mylić. Niemniej właśnie w Łomiankach znajduje się wiele warsztatów naprawy samochodów. A w takich peryferyjnych warsztatach stosunkowo najłatwiej, ho i najmniej są one na widoku, o przeróbki kradzionych pojazdów. Niektóre tylko z pozoru zajmują się usługami. W istocie rzeczy ich właściciele reperują wozy. skupowane po wypadkach i przeznaczane następnie na sprzedaż Odmładzają oni również aula. skupione na różnych przetargach czy licytacjach. Pojazdy mocniej zdezelowane służą za źródło do wymontowywania części zamiennych. Cóż prostszego niż zastosowanie identycznych metod w odniesieniu do samochodów skradzionych? A gdy się jeszcze nawiąże odpowiednie

znajomo ści i kontakty z którymś z wydziałów komunikacji, wówczas samochód, zarejestrowany pod innymi numerami — na przykład wozu przeznaczonego do kasacji — szybko wędruje nu giełdę. Ryzyko wprawdzie większe, ale i — zwłaszcza przy obecnych cenach samochodów — zysk taki, że usypia skrupuły A teraz — do rzeczy. Sprawdziliśmy warsztaty w Międzylesiu Jest lam laki jeden... Nale ż y do niejakiego Siwka. Henryka Siwka — powtórzył. - - Robi głównie wozy po wypadkach, ale ostatnio zaczęliśmy podejrzewać. że nie tylko takie i że chyba nie gardzi także kradzionymi. Na razie jednak niepewnego zastrzegł się. — Poza tym od czasu do czasu pan Siwek pośredniczy w sprzedaży pojazdów I jeszcze jedno: podobno niedawno miał u siebie jakiegoś koralowego fiata.

Warsztat mechaniki pojazdowej Henryka Siwka zlokalizowany był na peryferiach podstołecznego Międzylesia, żółta tabliczka wisiała na solidnej, dwuskrzydłowej bramie z równie solidnym skoblem, ale bez kłódki. Wchodząc na teren Wanacki ujrzał parterowy, szary budynek, z którego dochodziły odgłosy stukania, brzęk narzędzi oraz rozmowy.

Podwórko, odgradzające go od budynku, było czarne od szutru, rozjechane kołami samochodów, lecz przede wszystkim błotniste. Czy takie samo błoto oblepiało auto i buty Tomczyka?

Nic tu nie pachniało dbałością ani czystością Między mniej lub bardziej zdezelowanymi pojazdami leżały jakieś pojedyncze, niekiedy mocno pordzewiałe części, walały się stare, spar-ciałe opony. Właściciel warsztatu nie wydawał się człowiekiem grzeszącym nadmierną pedanterią

Z budynku wyjrzał mężczyzna w czarnym berecie, nasadzonym płasko na głowę i w szarym, pobrudzonym

smarami kombinezonie. Oczy koloru beretu, dwa ciemne węgielki, zlustrowały Wariackiego.

— O co chodzi? — zapytał tonem człowieka, przyzwyczajonego do odprawiania klientów z kwitkiem.

—W sprawie samochodu. Podobno jest tutaj jakiś fiat do sprzedania... — odparł Wanacki.

Osobnik w berecie wypluł z ust papierosa, rozdeptał obcasem niedopałek.

— Panie Siwek! — krzyknął. — Ktoś do pana! Utykając nieznacznie na jedną nogę, wyszedł z warsztatu mężczyzna około czterdziestu — czterdziestu pięciu lat. Jego smukła jeszcze sylwetka zdawała się należeć do kogoś młodszego niż twarz, osłonięta daszkiem czapki, spod której wysuwały się kosmyki jasnych włosów. W tej czapce oraz w sportowym pulowerze wyglądał jak zawodnik, nie. raczej jak trener po kontuzji.

— Pan do mnie? — upewnił się Ręką zsunął czapkę z czoła, odsłaniając oczy. w których nie było odrobiny zdziwienia. Najwyraźniej wziął Wanackiego za jednego z klientów, a takich mu pewnie nie brakowało.

Wanacki przytaknął.

— Przyjechałem w sprawie samochodu — powtórzył. — Podobno sprzedaje pan fiata?

Siwek ponownie nasunął czapkę, ręką dał znak i robotnik w berecie zostawił ich samych.

— Jak pan tu do mnie trafił? — zagadnął nieufnie.

— Z giełdy — zaryzykował Wanacki.

— Ach. tak — powiedział ze zrozumieniem Siwek, lecz zaraz dodał: —Ale wie pan, jakoś nie kojarzę...

— zainteresowanie spłynęło z jego twarzy, pozostawiając osad nieufności. — Nie przypominam sobie...

— W ostatnią niedzielę... — zaczął zachęcająco Wanacki.

Siwek nie podjął tematu, patrzył wyczekująco.

— Czy to nie pan wystawiał na giełdzie fiata 125, koral?

Właściciel warsztatu sięgnął do kieszeni po papierosy.
— A, owszem — przytaknął — miałem taki wóz.
Wanacki ucieszył się.
— No, więc ja właśnie w tej sprawie. Kolega, który się nim wtedy interesował, Jurek — rzucił celowo
— Jurek Tomczyk, zrezygnował i dał mi pana adres. Można by zobaczyć ten wóz?
— Tomczyk... Tomczyk... ?— powtórzył Siwek, marszcząc czoło. Poczęstował Wanackiego papierosem. — Coś kojarzę,., taki nieduży brunet z blizną na czole?
Sondował, udawał, że nie wie, czy rzeczywiście nie wiedział o śmierci Tomczyka?
Wanacki obrócił papierosa w palcach. Żarzył się słabo, niechętnie, przygaszany wilgotnym podmuchem.
— Zgadza się.
— To on tu pana przysłał?
Dziwnie to jakoś powiedział, z osobliwą intonacją.
— Tak, mówiłem już, interesuje mnie ten samochód.
— Chciałby pan kupić?
— Najpierw obejrzeć. Nie mam zwyczaju kupowania w ciemno.
Siwek uśmiechnął się z przymusem.
—A może byśmy tak przeszli do mnie? — zaproponował. — Po co marznąć na dworze?
Odrzucił papierosa i po paru schodkach wprowadził Wanackiego do ciasnego, nieporządnego jak i podwórko pomieszczenia z boku budynku, na zapleczu warsztatu. Ręką zmiótł z krzesła wytłuszczone szmaty, robiąc miejsce Wanackiemu. Sam usiadł przy stole równie zarzuconym rupieciami jak wszystko tutaj i z nic tajoną ulgą wyciągnął przed siebie niesprawną nogę.
— Pamiątka po wypadku — objaśnił nie pytany.
— I może pan prowadzić?
— Na krótsze trasy... Więc, je śli chodzi o ten wóz...

Miałbym coś dla pana. Fiat 125, chodzi jak cacko, niecałe dziesięć tysięcy przebiegu. Ale nie koral, tylko groszek. Spojrzał pytająco na Wanackicgo.

— Ale... Jurek mówił mi wtedy...

— Mówił, mówił! — żachnął się. —Trzeba było przyjść jak umówione, w poniedziałek, to byłby koral. Teraz korala nie ma, jest groszek. Interesuje pana czy nie? Bo jak to drugie, szkoda czasu i fatygi — gdy przyszło do interesów, nagle stwardniał. Zrobił ruch, jakby się chciał podnieść, kończąc dopiero co rozpoczęta rozmowę.

Wanacki powstrzymał go.

— Chwileczkę. Jurek Tomczyk mówił inaczej — teraz już musiał fantazjować. - Powiedział, że był u pana w poniedziałek, miał pieniądze, tak jak się umówiliście w bonach pekaowskich, ale nie dogadaliście się co do ostatecznej ceny. Wobec tego zrezygnował i dał mi pana adres.

— W poniedziałek? — wycedził chłodno Siwek. — Mówił, że był u mnie w poniedziałek? Z bonami, co? — stopniowo tracił już nie tylko początkową układność, lecz i opanowanie. W głosie pojawił się inny ton: rozdrażnienie, lęk? — Otóż teraz ja powiem: ani w poniedziałek, ani we wtorek, ani w ogóle go tu nie było! W tamt ą niedzielę, na giełdzie, widziałem go po raz pierwszy i ostatni! Wziął ode mnie adres, powiedział, że jak tylko podejmie pieniądze z banku, to zaraz w poniedziałek przyjedzie, ale jakbym tak mu uwierzył, dotąd bym czekał. Nie pojawił się, i koniec!

Dlaczego się tak gwałtownie zarzekał, tak mocno i widocznie nie chciał, ażeby go łączono w jakikolwiek sposób z osobą Tomczyka?

— Zresztą — dodał — to nie był wóz mój, tylko klienta, szykowałem mu go do sprzedaży. Kupił go, w poniedziałek właśnie, jakiś taksówkarz: Olczak, Olszak czy coś w tym rodzaju.

— Szkoda! — westchnął obłudnie Wanacki. — Prawdę mówiąc, najbardziej zależało mi właśnie na kolorze.

Właściciel warsztatu sięgnął po następnego papierosa. Napięcie, dotąd widoczne w jego rysach, ustępowało, odprężał się. Znów był dawnym, sympatycznym panem Heniem.

— Nie panu jednemu. Wszyscy jakby się teraz zmówili: i duże fiaty, i maluchy — nic, tylko koral. A ja twierdzę, że nie kolor jest ważny, ale silnik. Co panu nawet z najładniejszego wozu, jak silnik zacznie się sypać i z warsztatu pan nie będzie wychodzić? Najważniejszy jest silnik — powtórzył — a w tym groszku, o którym panu mówię, silnik naprawdę na medal. Osobiście gwarantuję.

Wanacki dał się przekonać.

— Może rzeczywiście ma pan rację? — rzekł po chwili wahania.

Siwek wzruszył ramionami.

— Mówię, jak jest.

— To co, gdzie stoi ten wózek, żebym go obejrzał? — Wanacki w pełni już wczuł się w rolę potencjalnego nabywcy samochodu.

Siwek podniósł się z krzesła.

— Mam go akurat u siebie, z tyłu, za warsztatem.

Znów wyszli na zimne podmuchy.

Fiat. schowany za budynkiem, był wyraźnie „odszykowany" do sprzedaży; błyszczał lakierem karoserii, deklami, zderzakami i idealnie czystym wnętrzem.

— To pański wóz czy klienta? Siwek drgnął.

— No bo tamten koral, sam pan mówił... lepiej od razu wiedzieć.

— Znajomego — skwitował krótko. - Prosił mnie o przysługę, więc dlaczego odmawiać? Zresztą czy to takie ważne? Ważny jest wóz, a za niego ręczę.

Wanacki obszedł fiata ze wszystkich stron, wbijając sobie w

pamięć numery rejestracyjne oraz inne szczegóły. Na oko przynajmniej samochód był rzeczywiście w bardzo dobrym stanie; nic nie wskazywało na to. żeby pochodził z jakiejś licytacji czy przetargu i ż eby go poddano specyficznej kuracji odmładzającej. Miał rzeczywiście nie więcej niż rok i chyba nawet stan licznika zgodny z faktycznym przebiegiem. Pośrednictwo w sprzedaży samochodów nic było w końcu niczym karalnym, najwyżej w sensie podatkowym, jeżeli ktoś trudnił się tym w sposób nielegalny, bez koncesji. Mimo że z biegiem lal konkurencja w handlu samochodami zwiększała się, nadal uchodził on za intratny biznes.

— Można zobaczyć silnik?

—Dlaczego nie? —Siwek otworzył pokryw ę, podwinął rękawy koszuli i swetra, żeby ich nie pobrudzić. Wanacki rzucił machinalnie okiem na jego ręce. Na lewej ujrzał charakterystyczny tatuaż w kształcie bransoletki nad przegubem, Siwek przesiadł się do samochodu, zapuścił motor.

— Więc jak?— zapytał niecierpliwie. — Decyduje się pan?

*

Wbrew obawom Wanackiego taksówkarz Olczak nie okazał się wytworem fantazji, lecz człowiekiem z krwi i kości.

Powiedziano, że najłatwiej spotkać go na Okęciu, na postoju przed lotniskiem, który od lat grupował prawdziwą taksówkarską arystokrację, wożącą pasażerów najchętniej za twardą walutę.

Przed dworcem lotniczym taksówki warowały rzeczywiście jak sfora psów, oczekująca na spodziewany kąsek. Kierowcy, wychyleni przez okienka, przypominali zawodników quizu o tytuł mistrza refleksu.

Koralowy fiat był tutaj tylko jeden. W samochodzie siedział młody, dosyć przystojny blondyn o przy- lizanych włosach i płaskiej twarzy, wyglądający na cwaniaka, który umie

troszczyć się o swoje. Szary sweter golf opinał jego szeroką klatkę piersiową i kark masywny jak u przedwojennego rzeźnika. Na widok Wanackiego wypluł gryzioną zapałkę i warknął:

— Zmydlaj się pan, i to szybko!

Intuicja, dzięki której zazwyczaj bezbłędnie kwalifikował ludzi na godnych i niegodnych zainteresowania, tym razem go zawiodła.

Wanacki cofnął się o krok, oglądając taksówkarza niczym swoisty okaz. Tego już tamten nie mógł ścierpieć.

— No co. ogłuchłeś? Zjeżdżaj, frajerze, mówię ci, nie widzisz, że zajęty? — i szybko umieścił na szybie odpowiednią tabliczkę.

Wanacki bezceremonialnie otworzył drzwiczki, usiadł obok kierowcy, postukał w tabliczkę palcem.

— Słusznie — potwierdził — bo właśnie będziesz zajęty, choć wcale nie tak. jak sobie wyobrażałeś. Wiesz, co grozi za niegrzeczne odzywki do funkcjonariusza na służbie? Mam zaraz wypisać wniosek na kolegium, żeby cię nauczyli przyzwoitych manier.

Tym razem taksówkarz zorientował się, że nie ma żartów. Przed chwilą jeszcze tak pewny siebie, natychmiast zmiękł, spokorniał i zaczął się tłumaczyć.

— Muszę się zastanowić — rzekł Wanacki — czy czasem nic zwrócić się o cofnięcie ci koncesji z powodu chamstwa i niewłaściwego odnoszenia się do pasażerów...

Nie po to tu jednak przyszedł, więc zaraz zmienił temat. Zapytał taksówkarza o Tomczyka.

Olczak nie odzyskał jeszcze poprzedniego rezonu.

— Nie, nie znam, nigdy nie słyszałem — pokręcił głową i przełknął ślinę.

— A Siwka, z warsztatu samochodowego w Międzylesiu? Zmieszał się, przygładził machinalnie włosy.

— W Międzylesiu? — powtórzył, najwyraźniej chcąc zyskać

czas do namysłu. — Nie wiem. czy to o niego akurat chodzi — odparł nareszcie z ociąganiem — ale faceta o tym nazwisku i właśnie z Międzylesia poznałem zeszłej niedzieli na giełdzie samochodowej.

— W jakich okolicznościach? Zdziwił się.

— Normalnych, jak to na giełdzie. Wystawiał fiata, którego chciałem kupić.

Zlizał z ust przylepioną tam jeszcze w kąciku drzazgę zapałki.

— Jakiego fiata?

— Dużego, lakier koral. Od dawna szukałem takiego.

— To ten wóz? — rozejrzał się po wnętrzu Wanacki.

Taksówkarz potwierdził.

— Kiedy go pan kupił?

Z lotniska dobiegła kolejna kilkujęzyczna zapowiedź i chodnikiem obok zaczął się przelewać hałaśliwy tłum.

— Kiedy? — powtórzył. - W poniedziałek, następnego dnia.

— Dlaczego nie od razu. w niedzielę na giełdzie?

Olczak wzruszył ramionami.

— Tamten facet nic chciał. Wydawało mu się. że podłapał klienta, z którym zrobi lepszy interes niż ze mną. bo tamten zapłaci mu za wóz w bonach, o ile nie w „zielonych".

— Ale stało się inaczej zauważył Wanacki. — To pan przecie ż kupił.

— Złotówka też pieniądz — zauważył filozoficznie Olczak. -- Wziąłem od tego faceta jego adres w Międzylesiu i powiedziałem, że przyjadę popróbować. A nuż tamten klient się nie zjawi?

— I tak właśnie było?

Olczak oparł się rękami o kierownicę.

— Może i tak, może dawał mniej ode mnie. a może po prostu w ogóle nie istniał? Nie wie pan. jak to bywa. kiedy się chce podbić cenę? Zresztą, jak się już później zorientowałem, jemu .też zależało na szybkiej sprzedaży. Ten fiat wcale nic

był jego. tylko jakiejś jego znajomej. Ta pani dala mu wszystkie, jak powiedział, pełnomocnictwa do sprzedaży.

— Czy ma pan może przy sobie umowę?

— Proszę bardzo.

Przechylił się, sięgnął do skrytki, wyjmując stamtąd jakiś złożony papier.

Figurujące tam nazwisko nic Wanackiemu nie powiedziało. Przepisał je jednak na wszelki wypadek, łącznie z adresem, i oddał umowę z powrotem.

Taksówkarz schował papiery. Jego masywna sylwetka z trudem mieściła się za kierownicą.

— Czym pan pojechał do Międzylesia? -zagadnął Wanacki. Czy taksówkarz w ogóle mógł odgrywać jakąkolwiek rolę w zamordowaniu Tomczyka? Był w poniedziałek w Międzylesiu i jechał do warsztatu Siwka, z którym umówił się również i Tomczyk, na ten sam dzień. Ale nic poza tym.

— Autobusem pospiesznym „C — padła odpowiedź.

— Miał pan spory kawałek od przystanku

— I owszem zgodził się taksówkarz. — Nawet nie orientowałem się początkowo, że to tak daleko.

Za szybą pokazało się słońce, pierwsze od wielu szarych dni. W dziurach między chmurami prześwitywało bladoniebieskie niebo. O której godzinie przyszedł pan do warsztatu?

Trochę się zająknął, jakby dopiero musiał znaleźć odpowiedź w pamięci.

— Zdaje się, że około siódmej, tak jak umawialiśmy się w niedzielę na giełdzie. Ale tego faceta, no, tego Siwka, niestety nic było.

— O! — zdziwił się Wanacki. Usłyszał coś nowego.

Tak. Podobno musiał gdzieś wyjść, ale zostawi! dla mnie wiadomość, że sprawa z fiatem aktualna, a on niedługo wróci.

Co się zdarzyło aż tak ważnego, że Siwek wyszedł, mimo że się spodziewał klienta?

— A kiedy wrócił?

— O ile pamiętam — jakiś kwadrans, mo że dwadzie ścia minut po siódmej.

— Wtedy właśnie poinformował pana, że ten klient z nonami zawiódł go?

— Wcale nie potrzebował informować. Sam się domyśliłem, jak tylko się dowiedziałem, że sprawa sprzedaży wozu jest nadal aktualna.

Jak zachowywał się Siwek?

— Jak to — jak? Normalnie.

— Nic był zdenerwowany? Nieswój?

— Trudno powiedzieć. Nie znam go bliżej. Na pewno musiał się bardzo spieszyć, ponieważ zauważyłem, że był spocony i zdyszany. Poza tym nie miał szalika, tylko przybiegł tak. mimo deszczu i zimna, rozchełstany, z rozpiętym kołnierzykiem.

„Nie miał szalika" — pomyślał Wanacki. Czy Tomczyk mógł zostać uduszony właśnie szalikiem? Jeżeli się nie spodziewał napaści —: dlaczego nie? Człowiek zaatakowany nagle, na przykład z tyłu, nie ma możliwości obrony. By go pozbawić życia, wystarczy nawet zwykły szalik. Pod paznokciami zamordowanego tkwiły pojedyncze włoski. Czy mogły to być włoski z szalika? Ale akurat z szalika Siwka? Wszak zimą wszyscy na ogól noszą szaliki. Chyba że — Wanacki spojrzał na sweter Olczaka — nosi się golf.

Zapytał Olczaka, czy nic zauważy] czasem niczego w drodze od autobusu do warsztatu.

— O co chodzi? — chciał w iedzieć taksówkarz. Wanacki powiedział, że o białego fiata. Albo o

mężczyznę o wyglądzie południowca. Niewysoki, czarne włosy, śniada twarz, na czole jaśniejsza blizna. Kiedy się spotka takiego człowieka, nietrudno go zapamiętać.

Olczak nie widział. Bystry był jednak i logicznie kojarzył, skoro natychmiast zapylał:

— Czy to mo że ten facet z bonami, który miał przyjechać do Międzylesia?

VI

— Siedzieli jakiś czas razem w Iławie. Wystarczy porównać daty. w pewnym okresie pokrywają się - powiedział Zakrzewski, podając Wanackiemu pismo, opatrzone urzędową pieczątką zakładu karnego oraz podpisem naczelnika. — Ściągnąłem akta. Kamiński dostał rok i sześć miesięcy za kradzieże. Siwek — pięć lat za wypadek samochodowy po pijanemu; byli jacyś ranni.

Wanacki przypomniał sobie charakterystyczny tatuaż w kształcie bransoletki. I jeszcze chromą nogę właściciela wirsztatu. „Pamiątka po wypadku", o którym tamten wolał nic mówić.

— Kamiński wyszedł wcześniej, w kwietniu zeszłego roku. Siwka zwolniono warunkowo, po trzech latach.

— Właśnie czytam Wanacki pochylił się nad informacją naczelnika. — We wrześniu ubiegłego roku...

— W początkach listopada otworzył warsztat w Międzylesiu w miejsce poprzedniego, zlikwidowanego, w Warszawie.

— W listopadzie? — upewnił się Wanacki. Zakrzewski potwierdził.

W listopadzie Tomczyk wrócił z zagranicy. W grudniu zaczęły ginąć samochody. Przypadkowy zbieg okoliczności?

— Jedno przynajmniej wiemy: obaj się znali.

— Owszem. Siwek się nie wypiera. Przez jakiś czas był nawet z „Cyganem" w jednej celi.

— Nietrudno sprawdzić.

— Owszem, ale jak udowodnić cokolwiek poza przypadkową więzienną znajomo ścią? Jak na razie, stwierdziliśmy jedynie, że gdyby w warsztacie Siwka rzeczywiście robiono lylko tyle napraw, ile ich uwidacznia w

księgach i wykazach podatkowych, to pewnie już dawno poszedłby z torbami. Tymczasem prosperuje, jak się wydaje, wcale nieźle.

— Znane chwyty na użytek wydziału finansowego - powiedział Wanacki. — Mało to ludzi usiłuje udowodnić, że na dobrą sprawę trudnią się właściwie działalnością charytatywną?

Zakrzewski uśmiechnął się w sposób trochę wymuszony.

— Siwka bynajmniej o to nie posądzamy. Podejrzewamy natomiast, że w swoim warsztacie poddaje różnym zabiegom i przeróbkom także i skradzione samochody. Niestety, podejrzenia to mało. a dowodów wciąż jakoś nic możemy znaleźć. Mamy go co prawda stale nu oku i prowadzimy obserwację, ale musimy działać dyskretnie, żeby nic spłoszyć przed czasem całej szajki, do której prawdopodobnie należy. Dlatego, co tu kryć, liczymy na każdą pomoc i każdą okazję. Może teraz akurat nadarzy się coś takiego? — i poinformował Wanackiego. że już wystąpił o zgodę prokuratora na zajęcie samochodu, który Wanacki oglądał w warsztacie Siwka, a którego numery rejestracyjne zanotował - dużego fiata koloru groszek.

Albowiem poprzedniej transakcji Siwka, polegającej na sprzedaży fiata w kolorze koral taksówkarzowi Olczakowi, trudno było zarzucić coś z formalnego punktu widzenia. Wóz należał wprawdzie do pewnej fryzjerki z Międzylesia, której się udało wyjechać na dłużej do Stanów Zjednoczonych, ale wszystkie pełnomocnictwa były w porządku, a Siwek występował jedynie w roli pośrednika.

Poza tym nawet jeżeli Siwek rzeczywiście, jak podejrzewał Zakrzewski, zajmował się przeróbkami kradzionych samochodów, to jakiż mogło to mieć ewentualny związek ze śmiercią Tomczyka?

.Jeżeli jednak tak trudno przychodzi gromadzenie faktów, związanych z zabójstwem, to mo że skoncentrować się przede

wszystkim na próbie rozszyfrowania motywów zbrodni?" — pomyślał Wanacki, dzwoniąc w chwilę po wyjściu od Zakrzewskiego do inżyniera Jedlińskiego, kolegi Tomczyka z pracy w Polsce i na zagranicznej budowie.

— W piątek — odparł bez specjalnego wahania inżynier Jedliński. — W zeszły piątek spotkałem Tomczyka na naradzie w sprawie dostaw na eksportowe budowy. Od tej pory więcej go nic widziałem.

Był to niemłody już, wysoki, szpakowaty mężczyzna o gęstych, krzaczastych brwiach i prezencji p przedwojennego rotmistrza, który zamienił swój mundur na jasny płaszcz burberry. Kiedy go zdjął i powiesi! na wieszaku w pokoju Wanackiego w Pałacu Mostowskich, okazało się, że pod płaszczem nosił uniform setek tysięcy mężczyzn — szary garnitur.

Po pytaniu o ostatnie spotkanie z Tomczykiem Wanacki zagadnął go. co robił w poniedziałek wieczorem, powiedzmy między godziną siedemnastą a dwudziestą.

— Zauważyłem, że cieknie mi jeden z kaloryferów — odpowiedział. — Zadzwoniłem do SPEC-u. obiecano przysłać montera do naprawy. Miał przyjść właśnie w poniedziałek. Powiedziano, żeby czekać miedzy dwunastą a czternastą. Wobec tego wyszedłem z pracy tego dnia wcześniej — o wpół do dwunastej.

— Nie mógł pana zastąpić żaden z domowników?

Inżynier zaprzeczył.

— Niestety, to niemo ż liwe. Od śmierci Zony mieszkam sam. Córka jest już mężatką.

— Ach, tak. No, ale czy interwencja w SPEC-u pomogła? Czy kaloryfer naprawiono?

— Trzeba ich znać! — odparł ze szczerym czy też udanym oburzeniem. — Czekałem bezskutecznie do wieczora — nikt

się nie pojawił! Na drugi dzień biorę za telefon, dzwonię do SPEC-u, i wie pan, co oni na to? Otóż w ich książce figuruje rzekomo wpis, że monter był — ale nikogo nie zastał. Widzi pan, jak u nas ludzie pracują? Do pieniędzy tylko każdy pierwszy, nie do roboty!

Opowiadał historię tak zwyczajną i codzienną, że byłaby banalna, gdyby nic wydarzyła się akurat w dzień morderstwa.

— A mo że to pan się spóźnił? - podpowiedział Wanacki.

— Nie. Wyszedłem z pracy dokładnie o wpół do dwunastej. W domu byłem parę minut przed dwunastą. Mieszkam na Saskiej Kępie - wyjaśnił. Pól godziny aż nadto wystarczyło na dojazd.

— I nigdzie już pan nie wychodził?

— Owszem, ale dopiero przed wieczorem. Około szóstej do sklepu po wodę mineralną i przy okazji do kiosku, po papierosy. Wątpię jednak, żeby ktoś ze SPEC-u fatygował się do mnie o tej porze. Musiałby to być naprawdę szczególny zbieg okoliczności.

Może wcale nie zbieg okoliczności — przeszło przez głowę Wanackiemu — ale alibi tworzone celowo, a w sposób trudny do sprawdzenia? Jedliński mógł się dowiedzieć, kto był autorem donosu na niego, komu zawdzięcza odesłanie do kraju, pozbawienie intratnej posady, mo że szansy dalszych wyjazdów za granicę — a mo że też spotkały go i inne jeszcze przykrości. Niejednego ju ż chęć zemsty, i to z daleko bardziej nieraz błahych powodów, popchnęła do morderstwa".

— Jaki charakter miało spotkanie pana i Tomczyka na piątkowej naradzie? Służbowy?

Jedliński potwierdził.

— A poza pracą? Czy nie utrzymywaliście kontaktów na gruncie prywatnym? Był pan przecież z Tomczykiem jakiś czas za granicą...

Chciał się dowiedzieć o Tomczyku jak najwięcej w nadziei, że może tutaj właśnie znajdzie punkt zaczepienia. Jedna z ważnych dziedzin kryminalistyki, nauka zwana wiktymologią, uznaje, że między ofiarami i sprawcami przestępstw istnieją różnorakie związki.

— Owszem — odparł inżynier. Jeżeli pana interesują dokładniejsze daty, gotów je jestem w każdej chwili podać.

— Interesuje mnie przede wszystkim sam Tomczyk. Jaki on był? Co mógłby mi pan o nim powiedzieć?

Jedliński żachnął się. Po raz pierwszy od początku rozmowy jego twarz, dotąd bez wyrazu, odbiła jakieś żywsze uczucie. Niechęci?

—Dlaczego właśnie ja?

— Nie pana pierwszego pytam o to... Natychmiast się wycofał.

— Tak, tak, rozumiem...

Wariacki poczęstował go papierosem, ale inżynier blado się uśmiechnął, podziękował i wyciągnął pudełko cygaretek.

— Ponieważ pracowaliście przez kilka lat na jednej budowie za granicą, było chyba dość okazji do bliższej znajomo ści.

— Bliższej? — powtórzył i pokręcił głową. — Byłem po prostu jakiś czas jego zwierzchnikiem, nic więcej. Dwa lata, zanim mnie nie odwołano do kraju.

Mówił o tym odwołaniu jak o zdarzeniu najnaturalniejszym pod słońcem.

— Dwa lata nie wystarczy na poznanie człowieka?

— Zależ y jakiego i w jakich okolicznościach. Za granicą mogą się dzia ć z ludźmi różne rzeczy...

Strzepnął do popielniczki popiół z cygaretki. Dawała przyjemny, aromatyczny zapach.

— Zwłaszcza w tropikach — podjął — w krajach odległych i odmiennych od naszego w sensie nie tylko, powiedzmy, geograficznym, ale pod wszystkimi innymi względami: stylu życia, mentalności, obyczajów, poglądów, religii -spojrzał

pytająco na Wanackiego. - Czy pan się orientuje, co mam na myśli?

— Zdaje się — zauważył Wanacki — że mimo to amatorów na wyjazdy nie brakuje...

Jedliński przesunął ręką po czole. Dłoń miał bladą, z brunatnymi plamami na wierzchu, prawie jak starczą.

— Oczywiście, że nie — odrzekł. — Wiadomo, co kusi: zarobki, a jeszcze bardziej — mity na ten temat. Ale zapewniam pana: stąd wszystko wygląda daleko piękniej niż tam. na miejscu. Są sprawy, o których się z różnych względów nie mówi lub mówi jedynie po cichu...

Dopalił cygaretkę i zdusił niedopałek.

—"Czy pan wie. że jak zawieje samum, gorący wiatr, to nie ma miejsca, gdzie by się człowiek mógł przed nim schronić? A ten wiatr niesie tumany pustynnego piasku, którego pclno w ustach, we włosach, pod powiekami, w oczach, który' powoduje bolesne, nie kończące się zapalenia spojówek. Temperatura skacze nagle do pięćdziesięciu stopni, a ludzie dosłownie wariują...

Wanacki musiał przyznać, że z trudem jedynie wyobrażał sobie Jedlińskiego wśród piasków pustyni, skąpych zarośli makii, drzewiastych jałowców i gorzko pachnących pio łunów, które inżynier zaczął mu obrazowo opisywać.

— Sam klimat potrafi załamać nawet najodporniejszych. Ludziom, którzy Bóg wie jak zabiegali o wyjazdy, zaczynają się śnić normalne rzeki, zielone lasy, łąki, śnieg... Nie to jest jednak najgorsze, a samotność, poczucie izolacji. Człowiek czuje się prawie jak na innej planecie. To nie Europa, gdzie się idzie po pracy do baru. do kina albo po prostu na spacer ulicami. Tam wszystko jest inne — nieznane, obce, wrogie. Już samo spojrzenie na kobietę może się źle skończyć, a nie znam takiego, który by się odważył wypuścić do któregoś z miejscowych lokali w mieście. O alkoholu nawet nic wspominam, a i tak wszyscy na ogół piją. Do tego ten

przedziwny cocktail nowoczesności ze skrajnym zacofaniem i fanatyzmem, którego nie jesteśmy w stanie zrozumieć, ponieważ po prostu nie mieści się on w naszej mentalności. Myślę, że tego właśnie baliśmy się tam najbardziej — wyznał, — Ten strach jeszcze bardziej nas izolował, skazywał na te same, wyczytane do reszty książki i gazety, jakie przychodziły od czasu do czasu. Na łapane od przypadku do przypadku wiadomo ści z radia, rzadkie listy z domu, ale głównie na samych siebie. Wszyscy się więc wzajemnie nienawidzą. Byle pretekst wystarcza do wywołania awantury, byle głupstwo doprowadza ludzi do takiej furii, że gotowi nawet zabić. Niektórzy nie wytrzymują dłużej niż parę miesięcy. Sami występują o to, żeby ich odesłać do kraju.

— Mimo zarobków?

— Mimo. Nawet to nie jest w stanie ich zatrzymać.

— A pan? Jak pan się tam czuł? I jak się czuó Tomczyk?

Jedliński zapalił nową cygaretkę ale nie odpowiedział wprost na pytanie.

— Kierowałem tamtejszą budową przez dwa lata, zanim nie zwróciłem się z prośbą o odwołanie z powrotem do kraju.

— Tak? — zdziwił się Wanacki, który jak dotąd znał inną wersję przyczyn powrotu Jedlińskiego do Polski.

— Z powodów osobistych — wyjaśnił. — Moja żona ciężko zachorowała.

Ani słowa o anonimowym donosie. Ale i również o Tomczyku, który został na budowie po wyjeździe stamtąd inżyniera Jedlińskiego.

— A Tomczyk? — zagadnął więc sam.

— On właśnie objął po mnie, i w moim zastępstwie, kierownictwo budowy.

— Jak go pan ocenia?

— Jako fachowca czy jako człowieka?

— Są różnice?

— Tomczyk był dobrym fachowcem i organizatorem, co

irzeba mu zapisać na plus. Byslry. obrotny, dawał sobie dobrze radę w kontaktach z tamtejszymi kontrahentami, które nie należą przecież do łatwych.

—- Więc sprawdził się za granicą?

— Pod pewnymi względami.

— Były jakieś inne?

— Były — odparł bez zwłoki, choć zaraz się zastrzegł:

— Mówiłem już. ludzie tam zmieniają się. wychodzą na jaw różne, niedostrzegalne tutaj, cechy charakteru...

Czy miało to zabrzmieć jak usprawiedliwienie czy wprost przeciwnie — jak oskarżenie?

— Już wkrótce po rozpoczęciu realizacji kontraktu zaczęły dochodzić do mnie niepokojące sygnały na temat stosunków Tomczyka, podówczas mojego zastępcy, z załogą. Ludzie skarżyli się na niego; że nic umie sobie ułożyć z nimi współpracy, jest apodyktyczny, źle ich traktuje, straszy z byle powodów1 odesłaniem do kraju... Początkowo uważałem to za przesadę. Wymagający zwierzchnik rzadko kiedy budzi sympatię wśród pracowników, natomiast znacznie częściej potęguje wysiłki, zmierzające do podkopania jego pozycji. Poza tym ludzie muszą mieć czas na poznanie się. zwłaszcza na budowie za granicą, na ..dotarcie się". Jednakże czas upływał, a atmosfera nie poprawiała się, zmieniała się raczej na gorsze.

— Nie było nikogo, kto by interweniował? Pan, zwierzchnik Tomczyka, organizacje społeczno- polityczne?

— Nie takie to proste. Wolałbym się nie wdawać w szczegóły, ale Tomczyk miał mocne zaplecze...

Wanacki zrozumiał. Choć znał również wypadki, w których tego rodzaju zaplecza bardziej leżały w sferze mitów niż rzeczywistości, rozumiał obawy.

— Sam się o tym przekonałem — zapewnił Jedliński. — Kiedy zwróciłem mu uwagę, że wydaje polecenia niezgodne z ustaleniami naszego zagranicznego kontrahenta, przełknął ją

wprawdzie w milczeniu. lecz z całej jego postawy trudno było nic wywnioskować, iż uważa mnie za głupszego od siebie. Następnie sprzeciwiłem się zaliczeniu do wykazu: „roboty wykonane" tego. czego w rzeczywistości jeszcze nie zakończono.

—Odtąd miałem już w nim wroga. Później zaś wynikła sprawa samochodu...

—Samochodu? — podchwycił Wanacki.

— Tak. To trochę nieprzyjemna i kompromitująca historia, więc nic dziwnego, że pewnie nikt panu u nas o niej nic wspomniał. Otóż zarówno ja. jak i Tomczyk, dysponowaliśmy za granicą samochodami, przyznanymi nam przez tamtejszą współpracującą z nami firmę dla ułatwienia pracy. Były to dwa jednakowe fordy; różniły się jedynie kolorem. Nic wiem. jak to się stało, to znaczy jak w ogóle mogło do tego dojść, ale po pewnym czasie dowiedziałem się, że Tomczyk zatarł podobno silnik w swoim wozie i wystąpił o przydzielenie mu jakiegoś innego samochodu.

I przydzielono mu?

— Tak, następnego forda. I tym jednakże długo nie jeździł.

— Co się stało?

—Miał wypadek. Wracając wieczorem dostał się w strefę ulewnego, tropikalnego deszczu, wpadł w poślizg i wyleciał z szosy. Ponieważ jechał w pasach, nic szczególnego mu się nic przytrafiło. Trochę potłuczeń i jedno głębsze rozcięcie na czole...

Wanacki przypomniał sobie jaśniejszą bliznę na twarzy Tomczyka.

— A samochód? — zapytał.

— Karoseria trochę pokiereszowana.

— Nie powie mi pan. że Tomczyk wystąpił o kolejny wóz?

— A jednak! Tylko że zamiast forda dali mu małego citroena, z którego wcale nie był zadowolony. Stale narzekał, że wóz za mało reprezentacyjny. Uważał, że go

pokrzywdzono. Przede wszystkim jednak nie mógł ścierpieć. że ja wsiadam do forda, a on ledwie do citroena. Bardzo był czuły na punkcie własnego prestiżu. Prawdopodobnie właśnie dlatego zaproponował mi, abyśmy jeździli fordem i citroenem na zmianę. Raz ja, raz on.

Jak pan na to zareagował?

— Odmówiłem, to jasne. Od tej pory stosunki między nami. i tak już dalekie od ideału, jeszcze bardziej się pogorszyły. Poza tym zauważyłem, że Tomczyk zaczął się robić coraz trudniejszy i coraz bardziej konfliktowy w tak zwanych stosunkach międzyludzkich. Napisałem o wszystkim do dyrektora Leśniewskiego.

— I co?

— Nic. Kamień w wodę. cisza. Nic dostałem żadnej odpowiedzi. Zaczęły jedynie dochodzić słuchy, że ktoś na do nas przyjechać z kraju, z centrali.

— Przyjechał?

— Za mojego pobytu tam — nic. Musiałem u, z('Mmi wracać do kraju. Dostałem ust od córki z wiadomo ścią o ciężkiej chorobie żony. Dopiero póimcj dowiedziałem się. ze rzeczywiście wysłano na moja budowę dwóch ludzi — coś w rodzaju komuji. Widocznie jednak Tomczyk miał znakomite układy, skoro nie tylko że nie spadł mu włos z głowy, ale go jeszeze awansowano na moje miejsce. Wszystkie zaszczyty i gratyfikacje jemu więc też przypadły po zakończeniu budowy. A może, jak byli z niego zadowoleni, również i kolejny samochód...

Inaczej to jednak przedstawiał niż przedtem personalna Bartczak.

— A tamte poprzednie samochody, myślę o fordach? — zagadnął Wanacki. Może istniały jakie ś związki Tomczyka z samochodowym rynkiem kupna-sprzedaży?

— Nie wiem — odparł Jedliński. — Wiem natomiast, że tam się nikt nie zwykł bawić w naprawy, zwłaszcza większe. Dla

nich taki rozbity samochód to już -złom. którym nie warto się zajmować — zwłaszcza gdy są pieniądze na nowy.

Czyżby sugerował, że Tomczyk celowo uszkadzał pojazdy, by je potem odkupić za grosze f sprzedać wyremontowane w Polsce z dużym zyskiem?

Skoro ju ż rozmowa zeszła na ten temat. Wanacki zagadnął inżyniera o warunki finansowe na zagranicznych budowach oraz o wysokość wynagrodzenia Tomczyka. Następnie zapytał o zielony portfel z lwem. Czy Jedliński widział go może kiedyś u Tomczyka?

Tamten spojrzał na niego z pewnym zdziwieniem

— Oczywiście, nieraz — wyjaśnił. — Podobno kupił go okazyjnie na suku, na tamtejszym bazarze, od jakiegoś kramarza. Ten kupiec musiał być nie lada spryciarzem, skoro wmówił mu za jednym zamachem sygnet i portfel.

— O — zainteresował się Wanacki - więc sygnet, który Tomczyk nosił, był również stamtąd? - pomyślał o ja śniejszym śladzie na jednym z palców Tomczyka. Czy był to ślad właśnie po sygnecie?

— Tak. 1 to nawet rozumiem. Sygnet to w końcu wcale niezła lokata w złocie; pod warunkiem, rzecz jasna, że to naprawdę złoto, a nie ordynarny tombak, bo i tak się urn zdarza. Ale ten okropnie pretensjonalny i w straszliwie złym guście portfel? - Jedliński me taił wzgardy. — No. sam Tomczyk właściwie też był pretensjonalny. Lubił nie tylko pieniądze jako takie, lubił pokazywać, że je ma. Sygnet, złoty zegarek noszony na co dzień — to właśnie było w jego stylu.

— Do biura również?

— Oczywiście! Stale! Należał do tego rodzaju ludzi. którzy uważają, że im bardziej będą imponować otoczeniu, tym i ono też więcej się będzie z nimi liczyć. Coś w tym zresztą jest. prawda? Otoczenie co prawda zazdrości - ale i podziwia, a to wicie rzeczy ułatwia...

Więc i w ostatni dzień, w poniedziałek, Tomczyk także

pewnie miał sygnet na palcu. A portfel? Wanacki zagadnął o to Jedlińskiego. Jedliński sądził, że portfel równie ż — ale dokładnie nie wiedział.

Wanacki zmienił temat.

— Czy czasem nie doszło do pańskich uszu. że Tomczyk chciał ostatnio kupić samochód? Jedliński zawahał się.

— A, tak — powiedział po chwili — coś sobie przypominam... O ile się nie mylę, to chyba nawet rozmawiałem z nim na ten temat... Tak, to musiało być w piątek, na naradzie Siedzieliśmy wtedy obok siebie. Nie darzyliśmy się, jak już pan wie, szczególną sympatią, ale po co zaraz okazywać demonstracyjnie niechęć? Rozpoczęcie narady opóźniało się. więc pogawędziliśmy sobie trochę na zasadzie: „co słychać?" Zdaje mi się. że właśnie wówczas Tomczyk powiedział, że się wybiera ? niedzielę na giełdę kupić samochód dla swojej byłej żony.

— Dla żony? — zdziwił się Wanacki. — Nie dla siebie?

— Nie. na pewno nie. Pamiętam dokładnie. Bardzo nawet narzekał, że ten rozwód zaczyna go kosztować majątek. Pamiętam także. że. jak mi mówił, ta pani uparła się przy fiacie koloru koral, o który najtrudniej i który najwięcej kosztuje.

— Co jeszcze?

— W zasadzie już nic. Była to w końcu przecież tylko luź na, przypadkowa rozmowa dlii zabicia czasu. Zresztą podszedł do nas dyrektor Leśniewski i należało szybko kończyć.

„Mimo to i tak Leśniewski co nieco usłyszał" — przypomniał sobie Wanacki. Znacznie ważniejsze wydało mu się jednak to, co powiedział Jedliński na temat kupna samochodu. Ponieważ — jeśli mówił prawdę — Ilona Tomczyk kłamała. Jerzy Tomczyk nie dla siebie, jak się okazuje, miał jechać po samochód, ale właśnie dla niej. To trochę zmieniało sytuację i stawiało na porządku dziennym pytanie: dlaczego Ilonie Tomczyk tak bardzo zależało na ukryciu tej okoliczności?

VII

Wieczorem Kamila rozchorowała się. Musiała to być chyba grypa lub silne przeziębienie, skoro nazajutrz miała już gorączkę powyżej trzydziestu ośmiu i Wanacki musiał telefonować do przychodni po lekarza.

Rejestratorka przyjęła zgłoszenie z westchnieniem.

— To ju ż trzydziesta dzisiaj, widać, że zaczynamy sezon grypowy... Doktor będzie po południu — zakomunikowała zwięźle — między trzecia, a czwarta..

Wanacki spróbował się potargować.

— Wcześniej nie można? — zapytał, ale słuchawka została już odłożona.

Zostawił wobec tego Kamilę samą. zapowiadając, że po drodze do pracy odwiezie Gośkę do przedszkola i że zadzwoni po teściową. Przy charakterze jego pracy jakakolwiek choroba żony zupełnie dezorganizowała im życie. Całe szczęście, że takie wypadki zdarzały się stosunkowo rzadko i na ogół długo nie trwały.

Teściowa nie uchodziła w oczach Wanackiego za osobę specjalnie skłonną do poświęceń, nawet dla własnej córki. Tym razem jednak zdobyła się na wspaniałomyślność i obiecała, że przyjdzie. Wanacki poczuł się wewnętrznie rozgrzeszony i zadzwonił do Międzylesia, do warsztatu Siwka. Przedstawiając się, jak poprzednio, jako potencjalny reflektant na groszkowego fiata, którego oglądał, upewnił się. czy wóz jest jeszcze do nabycia. Skoro tylko usłyszał potwierdzenie, zapowiedział, że przyjedzie do Międzylesia z pieniędzmi po południu. Powiedzmy, między piątą a szóstą. Niestety. Siwkowi ten termin nie odpowiadał, tłumaczył to innymi interesami. Wariackiemu natomiast było niezręcznie go w jakikolwiek sposób naciskać i przynaglać. Gdyby Siwek powziął najlżejsze podejrzenie, groszkowy fiat mógłby

niespodziewanie zniknąć. Tymczasem Zakrzewskiemu ogromnie zależało na zainscenizowaniu transakcji kupna-sprzedaży samochodu. Dawało to szansę na zatrzymanie Siwka na gorącym uczynku. Pod zapamiętanym przez Wanackiego numerem rejestracyjnym pojazdu figurowała bowiem w wydziale komunikacji na Woli jakaś stara warszawa. Jeżeli jednak groszkowy fiat był pojazdem skradzionym. Siwek zawsze mógł się tłumaczyć, że to samochód klienta, oddany do naprawy.

Umówili się w końcu nazajutrz w Międzylesiu i Wanacki poszedł czym prędzej poinformować o tym Zakrzewskiego.

Po powrocie zastał w pokoju odręcznie napisaną kartkę od kolegi z wydziału, który w związku z zabójstwem taksówkarza w Otwocku wpadał do komendy jedynie na krótko. Z treści kartki wynikało, że ekspertyza zakładu kryminalistyki będzie gotowa na pojutrze. Chodziło o włoski znalezione pod paznokciami Tomczyka.

W raportach wywiadowców' nadal nic było nic nowego. Charakterystyczny portfel z lwem. z którym — wedle wyjaśnień Jedlińskiego - Tomczyk się nie rozstawał, a według kasjerki z banku miał go również przy sobie na kilka godzin przed śmiercią, nigdzie nie wypłynął. Nic natrafiono na jego ślad ani na bazarze Różyckiego, dokąd często wędrują różne skradzione i zrabowane przedmioty, ani na „perskim jarmarku", odbywającym się co sobotę na terenach przy Wisłostradzie. Nie rzucił się w oczy pracownikom MPO. uprzątającym ulice i śmietniki. Również i indagowani mieszkańcy Międzylesia, z domów położonych w pobliżu ewentualnej trasy przejazdu Tomczyka z Warszawy do warsztatu Siwka w Międzylesiu, nie zwrócili uwagi na białego fiata. Tyle się tu zwykle kręciło różnych pojazdów, że kto pamiętałby akurat ten jeden?

W tym momencie odezwał się telefon. Dzwoniła teściowa z informacją, że lekarz stwierdził u Kamili grypę; dostała

zwolnienie na pięć dni i lekarstwa. Teściowa chciała również wiedzieć, czy Wanacki będzie mógł odebrać córkę z przedszkola, czy też ona sama będzie musiała pojechać po Małgosię. Odparł, że jeszcze nie wie, jak mu się ułoży, więc dla pewności wolałby to drugie. Prokurator Orłowski z Prokuratury Stołecznej, która nadzorowała dochodzenie w sprawie zabójstwa Tomczyka, życzył sobie szczegółowego pisemnego sprawozdania z jego przebiegu. Natomiast naczelnik wydziału, w którym pracował Wanacki. chciał mieć z kolei plan dalszych czynności.

Zabierając się do pracy Wariacki zrekapitulował dotychczasowe wyniki. Okoliczności zamordowania Tomczyka sugerowały morderstwo rabunkowe — brakowało portfela z bonami, a przypuszczalnie, na co wskazywałby jaśniejszy ślad na palcu ofiary, również i biżuterii: sygnetu? obrączki? Należało więc nadal iść tym tropem.

Następny obejmował inne motywy. Z materiałów, zebranych w miejscu pracy Tomczyka, wynikało, że miał on wrogów, wśród nich głównie inżyniera Jedlińskiego, na którego napisał brzydki donos z zagranicy. Nie można było zatem wykluczyć morderstwa z chęci zemsty.

Źle układało się również pożycie Tomczyka z byłą żoną. Iloną Tomczyk, przed którą początkowo zamknął konto dewizowe, a z którą następnie rozwiódł się. Oddając jej samochód i, być mo że, jakąś jeszcze nie ustaloną kwotę, usuwał ją jednak z mieszkania. Na przesłanki psychologiczne — chęć odwetu za doznane prawdziwe czy też rzekome upokorzenia — nakładały się kwestie materialne.

W kolejnym wariancie należało rozważyć ewentualne związki Tomczyka z przestępczą grupą złodziei samochodów. Jedliński sugerował, że Tomczyk celowo uszkadzał za granicą samochody po to, ażeby kupując je później za bezcen, sprzedawać drogo w kraju. Szukając pośrednika do tego rodzaju transakcji, Tomczyk mógł się wówczas zetknąć z

kimś, kto sprzedawał kradzione samochody. Za hipotezą tą przemawiał fakt zamieszania w sprawę złodziei samochodów — „Cygana" i Bednarka oraz znajomo ść „Cygana" z Siwkiem, podejrzewanym o sprzedaż kradzionych pojazdów. Nic znane pozostawały tutaj natomiast motywy zabójstwa. Można się było jedynie domyślać nieporozumień w grupie czy obaw, na przykład przed ujawnieniem afery przez Tomczyka.

Henryk Siwek równie dobrze mógł się zresztą stać mordercą z przypadku. Jeżeli Tomczyk rzeczywiście był w poniedziałek po południu w warsztacie Siwka w Międzylesiu ze sporą sumą pieniędzy w bonach pekaowskich, to i pokusa była duża. Taksówkarz Olczak nic zastał Siwka w warsztacie, a po powrocie Siwek sprawiał wrażenie zdyszanego i nie nosił szalika. Mógł zabić Tomczyka na miejscu, u siebie, ciało przenieść niepostrzeżenie do bagażnika białego fiata i odstawić samochód na płac Teatralny. Stamt ąd go potem ukradli „Cygan" i Bednarek.

No, a sam Olczak, który współzawodniczył z Tomczykiem w finansowym wyścigu do koralowego fiata?

Jeżeli mordercą staje się ten, komu ów czyn przynosi korzyść, czyli ten, kto ma motywy, by zabić — w wypadku zabójstwa Tomczyka potencjalnych podejrzanych było wielu.

Wanacki kończył już sprawozdanie dla prokuratora Orłowskiego- kiedy zadzwonił telefon, W słuchawce odezwał się głos Olczaka. Wanacki zostawił mu swój numer w Pałacu Mostowskich na wypadek, gdyby kierowca przypomniał sobie coś nowego.

Olczak nie chciał powiedzieć przez telefon, o co chodzi, ale dzwonił chyba z okolic komendy, skoro zaledwie po kilkunastu minutach był już na Nowotki.

Tym razem nie nosił szarego golfa, lecz flanelową koszulę i granatową pikowaną fufajkę, w której wyglądał jeszcze masywniej niż podczas rozmowy' przed lotniskiem. Opadając ciężko na krzesło oznajmił Wanackiemu, że jednak

przypomniał sobie pewien szczegół.

Po czym opowiedział o białym fiacie, którego widział w Międzylesiu. Ale nic na ulicy ani na drodze, tylko w lesie. Poza tym nie było w nim żadnego mężczyzny. Ani o wyglądzie południowca, ani Eskimosa. W ogóle nikogo. Samochód stał pusty. Dlatego właśnie, pytany o to, w ogóle nie skojarzył go ze sprawą.

Wyjaśnienie okoliczności, w których to miało miejsce, również było logiczne.

— Trochę znam tamte strony, jak człowiek za kółkiem tyle lat. to i zdąży się co nieco rozejrzeć po kątach. A i warsztaty się zna... Wiedziałem, o jaką ulicę i o który warsztat chodzi, więc poszedłem drogą na skrót, przez las. Oszczędza się spory kawałek drogi...

Wanacki chciał poznać wszystkie szczegóły. Przede wszystkim, czy Olczak się nie myli mówiąc, że samochód był pusty i jak mógł to stwierdzić.

Okazało się, że zaglądał do środka, a nawet świecił latarką, tą samą, którą oświetlał sobie drogę przez las.

— I nie zainteresował się pan — zapytał Wanacki — dlaczego ten fiat stoi tak, bez kierowcy, w środku lasu?

— Nie mój wóz, nie moja sprawa — odparł lakonicznie taksówkarz. — Co się będę wtrącał. A mo że jakiś facet zrobił sobie wypad z cizią do lasu i poszli się przewietrzyć?

Potem zaskoczył Wanackicgo następną rewelacje. Fiat był wprawdzie pusty, ale id ąc przez las Olczak minął się z jakąś kobietą. Widział ją dość wyraźnie w świetle latarki.

Opisał jej wygląd. Czarne włosy, krótka futrzana kurtka, spodnie.

Prawie dokładnie tak wyglądała Ilona Tomczyk. Jeżeli jej były mąż rzeczywiście pojechał po samochód do Międzylesia, Ilona mogła mu towarzyszyć. W końcu w takich sytuacjach zazwyczaj kierowca bierze kogoś drugiego — chociażby po to. ażeby tamten odprowadził kupiony wóz. A jeśli Jedliński

miał rację, czyli jeżeli koralowy fiat miał się stać własnością Ilony, to wówczas nikt inny tylko ona była tu osobą najbardziej zainteresowaną.

Wanacki zapytał, czy Olczak byłby w stanie rozpoznać tę kobietę.

Taksówkarz był zdania, że tak. Mógł również wskazać miejsce, w którym stał wówczas biały fiat.

Ilona Tomczyk była ekspedientką w Domach Towarowych „Centrum". Pracowała w stoisku z butami na II piętrze, gdzie panował wieczny tłok. Wanacki zmieszał się z tłumem, obserwując Olczaka, który zbliżył się do lady.

Taksówkarz przyglądał się Ilonie prze? dłuższy czas. zanim podchodząc do Wanackiego powiedział, że jego zdaniem jest to właśnie ta kobieta, którą owego wieczora spotkał w Międzylesiu.

Wanacki docisnął się do stoiska, zaszedł z drugiej strony lady.

— Koleżanka panią zastąpi — powiedział cicho do Ilony.

Żachnęła się:

— Dlaczego właściwie...? — ale dała się sprowadzić do radiowozu bez oporu.

Pojechali do komendy, gdzie przez dobre kilkanaście minut nie mo ż na było rozpocząć formalnego przesłuchania z powodu braku protokolanta. Nareszcie jednak i ten się znalazł, a kiedy wszedł, zmaterializowany w osobie młodego chłopaka z teczką pełną formularzy. Wanacki mógł rozpocząć konfrontację.

Zażądał, ażeby Olczak wstał i wtedy zwrócił się do Ilony Tomczyk:

—Czy pani poznaje tego mężczyznę?

Ilona zaprzeczyła. Nic, nic zna go. nigdy go nic widziała.

Wanacki nalegał.

— Proszę sobie dobrze przypomnieć, czy w dniu — wymienił datę — między godziną osiemnastą a dziewiętnastą, nie spotkała pani czasem tego pana w Międzylesiu?

Żachnęła się.

— Przecież mówiłam: nie byłam w żadnym Międzylesiu!

„Ale twarda" pomyślał Wanacki i poleci! Ilonie wstać, tak żeby Olczak mógł się jej dobrze przypatrzeć.

— No, a pan? — zwrócił się teraz do niego. — . Czy pan rozpoznaje tę panią, a je śli tak, to proszę opisać, w jakich okolicznościach ją pan widział?

— Tak. poznaję — odparł Olczak i powtórzy! poprzednią relację o spotkaniu w Międzylesiu.

Od tej pory siał się na razie niepotrzebny. Nieoczekiwany zwrot w dochodzeniu spowodował, że Wanackiego czekało dziś jeszcze przesłuchanie Ilony Tomczyk. W tej sytuacji wyjazd z Olczakiem do Międzylesia, dla zidentyfikowania miejsca postoju białego fiata, musiał zostać odłożony. Wanacki już zapowiedział taksówkarzowi, żeby się stawił nazajutrz rano w komendzie, gdy uprzytomnił sobie, że w ten sposób spaliłby przedwcześnie całą sprawę z Siwkiem, wobec którego grał rolę amatora groszkowego fiata. Nie mówiąc o tym, iż sprawiłaby to już sama obecność milicji w pobliżu — a takie wiadomo ści szybko się roznoszą.

Przesunął zatem termin spotkania na pojutrze.

Skoro tylko taksówkarz opuścił pokój, Wanacki zwrócił się do Ilony:

— No i jak? Sama pani słyszała... Czy to rozsądne, by dalej się wypierać i zaprzeczać?

Ilona zaczęła histeryzować.

— Chcecie mnie wrobić w to morderstwo, co?! Dobrze wiem. do czego to wszystko zmierza!

— Musimy jedynie wyjaśnić sprzeczności w pani zeznaniach - odparł Wanacki, otwierając szufladę biurka. Wyjął akta

zabójstwa Tomczyka, przejrzą! kilka kartek i rzekł:

— Podczas poprzedniej rozmowy twierdziła pani stanowczo, że pani były mąż miał przekazać swój dotychczasowy samochód — białego fiata — pani. sobie natomiast kupić na giełdzie fiata korala. - Naprawdę było odwrotnie. Biały fiat miał pozostać przy Tomczyku, a koral był przeznaczony dla pani. To pierwsza nieścisłość. I druga: powiedziała pani. że z mężem widziała się po raz ostatni w niedzielę, na giełdzie samochodowej i nic pani nie wiadomo na temat poniedziałkowego wyjazdu do Międzylesia. Jak pani jednak sama przed chwilą słyszała, jest świadek, który twierdzi, że widział panią krytycznego wieczora w Międzylesiu- Jak wyjaśnić te rozbieżności?

— Podejrzewacie... że to ja? — zapylała zamiast odpowiedzi.

— Każdy, kto składa fałszywe zeznania w sprawie o morderstwo, kto kłamie i ukrywa prawdziwe okoliczności, musi być podejrzany. Pani to też dotyczy.

— Rozumiem - skinęła głową. — Jestem więc dla was podejrzaną numer jeden. Zadusiłam swojego męża z sobie tylko znanych powodów... — jej wąskie wargi zacisnęły się w zawziętą kreskę. — Ale was rozczaruję. Musicie sobie poszukać innego winnego. Bo ja... ja go nie zabiłam! — i mocno akcentując każde słowo dodała: — Nie zamordowałam Tomczyka.

Wanacki zamknął akta.

—Dlaczego więc pani kłamie? Jej odpowiedź zdumiała go.

— Ze strachu — odparła. I po chwili przerwy opowiedziała Wanackiemu, co zdarzyło się w poniedziałek wieczór w Międzylesiu.

VIII

Przesłuchanie Ilony Tomczyk trwało aż do późnego wieczora. Kamila i teściowa Wanackiego. a na dobitek

również i Małgosia, najwidoczniej przez nie nabuntowana. przywitały go po powrocie do domu uszczypliwymi uwagami i komentarzami. Starał się nie reagować, ale był zadowolony, kiedy teściowa wreszcie poszła.

W nocy Kamila nie spała; mimo lekarstw nadal miała wysoką temperaturę. Wanacki więc również nie spał. Rano przyszedł do pracy w fatalnym nastroju, z bólem głowy i podejrzeniem, że zaraził się grypą. Na dodatek musiał pojechać do sądu, przejrzeć pewne interesujące go akta. Zaledwie wrócił i zdążył zjeść obiad w kantynie, gdy nadeszła pora wyjazdu do Międzylesia.

Zakrzewski zaproponował, ażeby wziąć jego prywatną skodę. Pojechali Trasą Łazienkowską, przez most, pod którym płynęła Wisła, już wolna od kry. Piaszczyste lachy pokryte jednak były jeszcze szronem.

Za rozjazdem na Grochowie zaczęły się przedmieścia; nieciekawe, piętrowe domki z pelargoniami w oknach i rupieciami na balkonach, dawne drewniane „letniaki", trochę nowych willi. Jedną z okazalszych dopiero co minęli. Wyglądała na dawny pałacyk, w którym obecnie, na co wskazywały czerwone, oficjalne tabliczki, rezydował prawdopodobnie jakiś urząd. Wanacki nie zwrócił jednak uwagi, jaki. Jego myśli raz zajmowała Kamila i jej choroba oraz własny ból głowy i złe . samopoczucie, to znów wczorajsze zeznania Ilony Tomczyk.

— Dlaczego pani kłamie? — zapytał ją, a ona odparła:

— Ze strachu...

Chciał wiedzieć, czego się bała. Wyjaśniła pospiesznie:

— Żeby nie być w to wmieszaną. Jeżeli dowiedzielibyście się, że pojechałam w poniedziałek z Tomczykiem do Międzylesia, czyli że byłam ostatnią osobą, która go widziała żywego, nie dalibyście mi spokoju. Byłabym podejrzaną numer jeden. Nie! potrząsnęła głową. Czarna grzywka rozsypała się. ale służbowy, szary fartuch, w który Ilona była

ubrana, nadal nadawał jej schludny wygląd. - Miałam już zupełnie dość wszystkiego po sprawie rozwodowej?

Wyjaśnienie było niby logiczne, lecz coś w nim jednak zastanawiało. Ale Ilona Tomczyk nic zostawiła Wanackiemu dłuższego czasu do namysłu. Wyglądało na to, że kiedy już zaczęła mówić, opowie mu swoje całe dotychczasowe życie.

Na szczęście ograniczyła się jedynie do zrelacjonowania sprawy rozwodowej. Ponieważ Tomczyk nic chciał ugody w sprawie majątku, musiała wytoczyć osobny proces. Najbardziej zależało jej na mieszkaniu, ale właśnie mieszkanie stanowiło notarialną własność Tomczyka. Oddziedziczy! je w spadku po matce jeszcze przed ślubem z Iloną i w żadnym wypadku nie mogło być uznane za składnik tak zwanego majątku dorobkowego małżonków. Sąd przysądził zatem Ilonie jedynie pewne kwoty pieniężne od Tomczyka, część mebli oraz samochód - białego fiata.

— Mówiłam już panu zresztą o tym — przypomniała Wanackiemu jego pierwszą wizytę na Mokotowie.

Rzeczywiście, mówiła. I nie tylko mówiła. Również pakowała swoje rzeczy, dywan, obrazy. Na drzwiach zostały świeże ślady po odkręconej dopiero co wizytówce. Wanacki zapytał, kio ją zdjął.

Spojrzała zaskoczona.

— Oczywiście, że mój były mąż! — odparła. — Tylko on mógł mieć takie pomysły!

Już sama intonacja jej głosu sugerowała, że nie rozwiedli się bez powodu. I nie powinni również nadal razem mieszkać. Czy jednak miała sie dokąd wyprowadzić?

— Wynajęłam kawalerkę — odpowiedziała. — Ani mi w głowie pozostawać z tym człowiekiem, pod jednym dachem!

„Wynajęła — ale za ile?" — pomyślał Wanacki. Mieszkania w Warszawie kosztowały bajońskie sumy. Pensja ekspedientki raczej to uniemo ż liwiała. A więc?

Wyjaśniła, że za pieniądze od Tomczyka, częściowo

przeznaczone właśnie na ten cel, częściowo na wkład na mieszkanie spółdzielcze, które miała nadzieję dostać stosunkowo szybko przez swój zakład pracy. Liczyła również na pewne sumy, które uzyska ze sprzedaży mebli, obrazów, biżuterii. Być może zostało jej też co nieco z tych dewiz, które kiedyś tak hojnie czerpała z konta męża.

Wanacki wrócił do kwestii samochodu.

— Mimo wyroku mój były mąż ani myślał oddać mi wóz — powiedziała z zaciętością w głosie. — Zwlekał i wynajdywał wciąż, nowe preteksty.

Miała ich dość, zagroziła powiadomieniem o wszystkim szefa Tomczyka.

— Co by to dało? Przecież byliście już po rozwodzie...

Uśmiechnęła się kpiąco.

— O, bardzo wiele. W jego instytucji bardzo nie lubili takich różnych hislorii. Na pewno zaszkodziłoby mu to przy jakimś ewentualnym wyjeździe na kontrakt za granicę.

Zaszeleścił papier — to protokolant rozpoczął zapisywanie nowej kartki.

— Wtedy mój były mąż zmiękł i zaproponował, żebym się zgodziła na zamianę. On nadal zatrzyma sobie białego fiata, mnie natomiast kupi inny wóz tej samej klasy.

— Dlaczego? — zdumiał się Wanacki. — Dlaczego mu tak bardzo zależało na tym akurat samochodzie?

— Podobno dlatego, że sporo w niego zainwestował. W samochodzie było radio, specjalne pasy bezpieczeństwa, opony Michelina, halogeny, zabezpieczenie antykorozyjne i tak dalej. Ale tak naprawdę po prostu wiedział, że fiat przywieziony z zagranicy to jednak co innego niż te, które się produkuje na kraj. Niby ta sama marka, a jakość inna.

— Przywiózł tego fiata z zagranicy? — zapytał Wanacki.

— Tak. Wrócił nim do kraju.

— A przedtem? Czy przedtem też przywozil jakieś samochody?

— Może i tak — odrzekła Ilona Tomczyk. — Ja wiem tylko o dwóch: o fiacie i o fordzie.

Czyżby o fordzie, o którym wspominał Jedliński? Aucie uszkodzonym rozmyślnie, po to, aby później dobrze zarobić na nim w kraju?

— Co się potem stało z tym samochodem?

— Został sprzedany.

— Kto go kupił?

— Nie wiem. Mój były małżonek nie miał zwyczaju zwierzać mi się ze swoich interesów. Ale może umowa sprzedaży znajduje się w jego papierach…

— Zgodziła się pani na propozycje męża w sprawie fiata?

— Nie miałam innego wyjścia. Jeżeli odmówiłabym, musiałabym handryczyć się z nim jeszcze co najmniej dobre parę miesięcy.

— Dlaczego nie powiedziała pani o tym wcześniej?

— Czy to naprawdę takie istotne? Po co wywlekać osobiste nieporozumienia?

Albo obawiać się utraty samochodu nic w zamian nie zyskując, skoro nie było jeszcze drugiego. Zamiast Tomczyka — Olczak kupił koralowego fiata. Tylko że Ilona przecież o tym nic wiedziała. Co więc wiedziała?

Zagadnął, czy niepisanej umowie pomiędzy nią a Tomczykiem w sprawie posiadania samochodu nie towarzyszyły czasem jakieś dodatkowe warunki?

— Na przykład?

— Dodatkowe wymagania co do koloru, marki, wieku pojazdu i tak dalej…

Pamiętał przecież zeznania Jedlińskiego. Tomczyk twierdził podobno podczas rozmowy przed naradą, że była małżonka upiera się przy fiacie koloru koral.

— Chodziło mi tylko o to żeby nareszcie wyegzekwować swoje prawa do samochodu. W końcu był wyrok sądowy…

— W każdym razie znaleźliście odpowiedni samochód na

giełdzie... Potwierdziła.

— Dlaczego więc transakcja nie została sfinalizowana od razu, na miejscu?

— Z winy mojego byłego małżonka! — odrzekła takim łonem, jak gdyby do tej pory nie wybaczyła jej Tomczykowi. — Po prostu nie miał przy sobie pieniędzy! Kiedy doszło do konkretnych pertraktacji, oznajmił beztrosko, że dopiero jutro mo że podjąć z konta bony pekaowskie...

Jutro — czyli w poniedziałek. Zgadzało się. W poniedziałek Tomczyk rzeczywiście wziął ze swojego konta walutowego pewną kwotę w bonach.

— Właściciel fiata z giełdy godził się na zwłokę?

— Chyba bony go przekonały. W końcu to nie złotówki. Ale i tak zażądał zaliczki. Tomczyk dał mu dziesięć tysięcy za pokwitowaniem.

Siwek dyskretnie przemilczał ten szczegół. Ale czyż musiał się zaraz zwierzać? Wanackiego zainteresowało zresztą coś innego.

— Gdzie Tomczyk miał pieniądze? — zapytał.

— W portfelu oczywiście — w głosie Ilony zabrzmiała absolutna pewność.

— Jak wyglądał ten portfel? Czy mo ż e go pani opisać?

W sposób nawet przesadnie drobiazgowy Ilona Tomczyk opisała portfel z lwem.

— Dla mnie była to rzecz w najgorszym guście — skomentowała. — Zwłaszcza dla mężczyzny. Nigdy w życiu nie nosiłabym czegoś takiego. Ale Tomczyk uważał swój portfel za istne egzotyczne cudo... Niektórym się też zresztą podobał — dodała. — Ten facet z giełdy na przykład, z którym targowaliśmy koralowego fiata, bardzo się dopytywał, gdzie coś takiego mo ż na kupić — parsknęła z pogardą. — Taka to właśnie kategoria ludzi!

A więc i Siwek również widział portfel Tomczyka... Dlaczego go tak zainteresował? Czy tylko z powodu złego gustu?

Ilona nie wiedziała. Tomczyk dał właścicielowi koralowego fiata zaliczkę i schował portfel z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki. I ona również, jak przed nią już inni, potwierdziła, że Tomczyk zawsze nosił, portfel przy sobie. Właściciel fiata wypisał pokwitowanie, ale ponieważ miał również innych reflektantów na samochód, zapowiedział, że zaczeka tylko do poniedziałku do wieczora. Jeżeli do tej pory Tomczyk nie przyjedzie z pieniędzmi do Międzylesia, będzie się czuł zwolniony z dotrzymania umowy.

— Co się zdarzyło potem?

Przygryzła wargi, zostawiając na zębach tłusty, czerwony ś lad szminki.

— Tego dnia już nic. Wróciliśmy na Mokotów i tam zapakowałam część swoich rzeczy.

— A następnego dnia, w poniedziałek?

— No, cóż, nie ma wyjścia, skoro znalazł się ktoś, kto mnie tam widział... Pojechaliśmy około szóstej razem do Międzylesia...

Skoda Zakrzewskiego skręciła z głównej szosy w bok. Do warsztatu Siwka było stąd jednak nadal dość daleko; kawał drogi przez tereny zabudowane i oświetlone coraz skąpiej, przez sosnowe enklawy, na które kładł się zmierzch, zamazując kontury drzew i piaszczyste, leśne drogi.

Czarny, sprasowany szuter nawierzchni miejscami się pozapadał, miejscami wybrzuszył, tworząc wyboje. Gdzieniegdzie, a zwłaszcza w przydrożnych rowach i pod rosnącymi nic opodal krzakami bielały płaty śniegu i połyskiwały głębokie dziury napełnione wodą.

Niebawem wszystko utonęło w ciemnościach, w których sterczały kikuty nieczynnych latarni. Pasma mgły znad wilgotnej ziemi biegły pod reflektory samochodu — do światła, które je szarpało, rozdzierało i odrzucało na boki.

Dojechali do skrzyżowania z boczną drogą. Zakrzewski przyhamował. Wtedy ujrzeli ciemny kształt samochodu. Zaparkowany na uboczu, pusty i nie oświetlony, stał koralowy fiat o znanej Wanackiemu rejestracji. Fiat taksówkarza Olczaka.

Wysiedli i obejrzeli go dokładniej. Wanacki nie mylił się. Koralowy fiat. sprzedany przez Siwka Olczakowi.

- Co Olczak robi w Międzylesiu? — zastanowił się głośno Wanacki.

Nie przyjechał tu chyba po to, ażeby po ciemku szukać miejsca, w którym w ów poniedziałkowy wieczór widział podobno białego fiata i spotkał Ilonę Tomczyk. Raczej sprowadził go tu jakiś inny interes. Może coś było z fiatem nie w porządku? Brakowało jakichś akcesoriów lub dokumentów? Albo transakcja nie została jeszcze doprowadzona do końca? Przyjechał więc prawdopodobnie do warsztatu Siwka.

Zakrzewski nie krył zniecierpliwienia. Niespodziewana komplikacja wywracała cały plan, na który tak liczył. Wanacki w żadnym wypadku nie mógł się teraz pojawić w warsztacie jako reflektant na groszkowego fiata.

Postanowili, że aby się upewnić, czy Olczak rzeczywiście jest u Siwka, pojadą do warsztatu okrężną drogą i zajdą od tyłu.

Zakrzewski zawrócił. Znowu zagłębili się w ciemność. Okolica była tu nie zamieszkana. Zza parkanów kilku ogrodzonych parceli wyzierały wprawdzie stosy cegieł i sterty innych materiałów budowlanych, czekających wiosny, ale gdy skręcili w lewo. zaczął się las. Droga zwęziła się. Wkrótce chyba wpadli w jakąś dziurę, koła zaczęły buksować, a wóz stał w miejscu. Nie było sensu jechać dalej.

Wysiedli, postanawiając iść piechotą. Do warsztatu Siwka musiało stąd być prawdopodobnie niedaleko.

W powietrzu wisiała wilgoć, którą od razu poczuli na

twarzach i na płaszczach. Mgła przeszła w drobny, lecz gęsty deszcz. Mokre, iglaste gałązki choinek pochylały się nad drogą jak drapiące frędzle.

W miarę, jak posuwali się naprzód, las gęstniał, a grunt pod nogami zmiękł i stał się grząski, podmokły.

Wanackiego naszły wątpliwości, czy aby rzeczywiście postąpili słusznie — i czy nie lepiej było próbować dalszej jazdy samochodem. Zakrzewski jednak parł naprzód.

Kapitan poczuł, że mu przemiękają buty. Ubrał się też nieodpowiednio na taką eskapadę. Grypa go na pewno nic minie. Dotknął ręką czoła, by sprawdzić, czy może już ma gorączkę. W tym momencie usłyszał delikatny szmer. Było w nim coś niepokojącego, trudnego jednak zarazem do sprecyzowania.

Posunął się ostrożnie kilka kroków. 1 jeszcze kilka, kilkanaście... Stanął.

Gdzieś w przodzie, jak ognik na bagnach, migotała latarka Zakrzewskiego. Szmer również dochodził z tamtego kierunku.

— Stój! — zawołał, ale chyba zbyt słabo, skoro światło latarki nie znieruchomiało. Zakrzewski ani nie stanął, ani nie zawracał.

,,Gdzie mu u diabła, tak spieszno? — pomyślał ze złością Wanacki. — Dlaczego nie poczeka? Boi się że nie zdążymy?"

— Halo! — zawołał raz jeszcze, ale i teraz nikt mu nie odpowiedział.

W lesie panowała cisza, urozmaicona jedynie owym monotonnym szmerem.

Po przejściu jeszcze kilku kroków Wanacki już wiedział, co to. Niespodziewanie stanął nad brzegiem niedużego, leśnego jeziorka, którego ciemna tafla połyskiwała w świetle latarki. O powierzchnię wody monotonnie uderzały krople deszczu. To one właśnie wydawały ów charakterystyczny odgłos.

Brzeg jeziorka był z tej strony niedostępny. Od miejsca, w

którym stał Wanacki, pozostawało jeszcze dobre kilka metrów mokradeł, które w porze roztopów zamieniały się w tłuste grzęzawiska.

Czy to było właśnie to jeziorko? Czy to o nim opowiadała podczas przesłuchania Ilona Tomczyk?

IX

A więc: —,,Około szóstej" — powiedziała wówczas Ilona. W poniedziałek pojechała o tej porze razem z Jerzym Tomczykiem do Międzylesia kupić koralowego fiata.

Niespodziewanie rozpłakała się, przykładając do oczu chusteczkę. Protokolant przyniósł szklankę wody, z której upiła kilka łyków, odsłaniając twarz z rozmazanym makijażem. Szybko się jednak z tym uporała i równie szybko opanowała. Zanim protokolant wrócił na miejsce, zdążyła wyciągnąć puderniczkę. przypudrować nos i policzki — i już mogła mówić dalej.

Jej zeznania sprawiały wrażenie szczerych i spontanicznych. Powiedziała Wanackiemu. że pojechali do Międzylesia białym fiatem, którym Tomczyk miał wracać do Warszawy. Ona sama miała się przesiąść do nowo zakupionego auta

Kiedy znaleźli się na miejscu, dawno zapadł zmierzch. Ciemnymi ulicami, nie znając terenu, podążali jak się im wydawało — w stronę warsztatu Siwka.

— Czy Tomczyk miał już wtedy przy sobie pieniądze? — zapytał Wanacki.

Usłyszał odpowiedź twierdzącą.

— Tak. Bony, które tuż przed spotkaniem się ze mną pobrał ze swojego konta w banku na placu Powstańców.

— Widziała je pani? Ile ich było? — mimo wszystko jednak należało się upewnić.

—Nie wiem. nie liczyłam. W każdym razie dużo. Cały

wypchany portfel.

— Ten portfel, o którym już pani raz wspominała?

Przez jej twarz przebiegł cień zdziwienia.

— Oczywiście! — odparła. — Przecież mówiłam, że nigdy się z tym cudem nie rozstawał...

Także i teraz zabrzmiało to równie ironicznie, jak poprzednio.

— Gdzie go miał tym razem? W marynarce?

— W kurtce — przypomniała Ilona. — Miał na sobie skórzaną kurtkę, portfel nosił w wewnętrznej kieszeni.

— W jakich okolicznościach pokazał pani pieniądze? — chciał jeszcze wiedzieć Wanacki.

— Po drodze, w samochodzie. Sama tego zażądałam, żeby upewnić się, że tym razem nie wystawi mnie do wiatru.

— Co było dalej?

— Jeżeli mam być szczera: po prostu mu odbiło! Słownictwo, sposób wyrażania się miała raczej

mało wybredny, zważywszy na okoliczności.

— Wszystko przez ten jego pobyt za granicą! Nigdy nie był specjalnie łatwy ze współż yciu, ale po przyjeździe stamt ąd stał się zupełnie niemo ż liwy! Głupstwa wyprowadzały go z równowagi, byle pretekst wystarczał do awantury. Zrobił mi z życia takie piekło — powiedziała z niewygasłym błyskiem nienawiści w oczach — że gdyby nie rozwód, tobym go chyba... — mimo wszystko jednak w ostatniej chwili się pohamowała i już nie dokończyła.

— Czy mam rozumieć, że i w poniedziałek też doszło do sprzeczki między wami?

Ilona wolała określić to wprost.

— Sprzeczki? Jakiej sprzeczki? Wyrzucił mnie po prostu z samochodu!

— Z powodu?...

— Ośmieliłam się mieć własne zdanie. Nic wystarczy? Dla niego to wystarczyło. Nic znosił, gdy mu się ktoś sprzeciwiał.

Zawsze musiał mieć rację...

A ponieważ i ona, jak się wydawało, dzielnie mu sekundowała, sielanki na pewno między nimi nic było.

— Gdzie to się stało?

— Tam właśnie, w Międzylesiu! Jurek — po raz pierwszy od dłuższego czasu posłużyła się imieniem — zapisał co prawda adres, ale trafić nie mogliśmy. Ulice były nie oświetlone, nawierzchnia okropna. Zaczęliśmy się błąkać, a tu wszędzie błoto, dziury, kałuże...

A więc stąd to błoto na karoserii, stąd wrażenie, że biały fiat jeździł po nie wiadomo jakich wertepach, choć były to ledwie wertepy podwarszawskie.

— Jurek wściekał się na mnie, chociaż sam był winien, że się nie wypytał dokładnie. Powiedziałam mu to, a on...

Reasumując — pokłócili się. Rosła wzajemna niechęć, napięcie. No i nietrudno też w takich warunkach o różne niekontrolowane emocje.

— Nareszcie — ciągnęła — znaleźliśmy się na jakiejś drodze, jeszcze gorszej od poprzednich. Mój były małżonek — jednak powróciła do poprzedniego określenia — upierał się mimo to, że jedziemy dobrze. Stąd powinniśmy skręcić w boczną drogę, a przy niej właśnie, obok lasu, miał się znajdować warsztat, którego szukaliśmy... No i skręciliśmy tak jak sobie życzył ?— ale kiedy ujechaliśmy już kawałek, a warsztat się nadal nie pokazywał, powiedziałam, że to z całą pewnością nie tu i musiał znów zmylić drogę. On tymczasem swoje. Że nie, że jedziemy tak jak trzeba. Kiedy się już na dobre zaczął las, kategorycznie zażądałam, żeby zawrócił. On — że ani mu się śni i ,,jak ci się nie podoba, to wysiadaj z samochodu!" Ja wtedy...

— Właśnie — co wtedy? Co się zdarzyło potem?

„Potem" w relacji Ilony wyglądało tak: Tomczyk stracił panowanie nad sobą, zatrzymał samochód w środku lasu.

— Wysiadaj! — rozkazał. — Ale już, bo jak nie, to sam ci

pomogę!
Ilona zaczęła się opierać i szarpać. W czasie szamotaniny rozorała Tomczykowi twarz paznokciami.
Zagadka, skąd na policzkach Tomczyka wzięły się świe że szramy, wyjaśniła się.
Na podrapanie mu twarzy Tomczyk zareagował jeszcze większym wybuchem wściekłości. Ponieważ Ilona opierała się, rękami przytrzymując się z obu stron siedzenia, a Tomczykowi kierownica utrudniała pełną swobodę ruchów, wyskoczył z samochodu i podbiegł do drzwiczek po stronie Ilony. Broniąc się przed wyrzuceniem jej w ten sposób z samochodu, Ilona nie puszczała drzwiczek — ale też t nie zdążyła wcisnąć blokującego je zamka.
— Nagle, mimo oporu, poczułam gwałtowne szarpniecie. Nie miałam już siły. Puściłam klamkę. Drzwiczki otworzyły się. I, przysięgam panu, naprawdę nie wiem. jak to się stało, nawet nic widziałam z powodu ciemności... Myślę, że Tomczyk musiał się szarpać z klamką, stojąc pochylony, żeby mnie zaraz potem szybko wyciągnąć z samochodu. I że kiedy puściłam drzwiczki, to one z całą siłą uderzyły go. Bo właśnie coś takiego jak uderzenie usłyszałam, i krzyk, i później już nic...
Zdaje się, że i pytanie, jak powstała rana tłuczona na lewej skroni Jerzego Tomczyka, także znalazło już odpowiedź.
— Co pani wtedy zrobiła?
Na razie Ilona zrobiła pauzę, przełykając łyk wody, prawdopodobnie po to. by zyskać na czasie.
— Najpierw nic. Dalej siedziałam w samochodzie. Myślałam, że Tomczyk zaraz się podniesie i zacznie na nowo. Ale kiedy nic się nie działo, wysiadłam...
— I co?
— I zobaczyłam, że leży bez ruchu obok samochodu.,. Pomyślałam, że dobrze mu tak. Przynajmniej raz los zemścił się na nim za mnie...

Dopiero jednak teraz miała nastąpić niespodzianka.
— Kiedy się nad nim pochyliłam, żeby przekonać się, co się stało, poderwał się nagłe z ziemi.
— A więc to wszystko przedtem... — zagadnął Wanacki — to uderzenie, krzyk, utrata przytomności...
— Naprawdę panu nie powiem ani nie wyjaśnię. Po prostu nie wiem. Może rzeczywiście drzwiczki uderzyły go w głowę i zamroczyło go na moment, a mo że tylko udawał, żeby mnie zmylić i wyciągnąć bez oporu z samochodu? W każdym razie, jak już mówiłam, zerwał się z ziemi, złapał mnie za włosy i w ten sposób pokazała, jak to się odbyło — siłą zaciągnął mnie dobre kilkanaście metrów za samochód, w las. Tu jeszcze kopnął mnie na pożegnanie, a kiedy się przewróciłam, dołożył parę wyzwisk i zawrócił do wozu. Za chwilę usłyszałam, że odje żdża. Aha, i jeszcze; „Mała przechadzka po lesie dobrze ci zrobi!" Zawsze, jak pan widzi, był bardzo elegancki i uprzejmy...
Gdy warkot samochodu ucichł, Ilona została sama w lesie, na dodatek na jakimś bardzo podmokłym terenie. Okazało się. że Tomczyk zawlókł ją na skraj grząskiego, leśnego moczaru, w który upadła przewracając się. Ogarnął ją strach, zaczęła krzyczeć i wzywać pomocy, bała się. Jednakże nikt nic odpowiadał ani też nikt nic nadchodził. Nie wracał również Tomczyk. W torebce miała pudełko zapałek. Zapaliła kilka naraz i w nikłym, chybotliwym blasku płomienia dostrzegła zeschłą kępę traw na wystającym pagórku. Tuż obok rosła wątła brzózka.
Wyciągnęła nogę z błota, pośliznęła się znowu, ale udało się jej chwycić jakiejś kępy mchu.
Grzęzawisko, jak się wtedy zorientowała, było co prawda dość rozległe, ale ciągnęło się wąskim, na szczęście, pasem i było niezbyt głębokie. Bardziej obrzydliwe i zimne niż naprawdę niebezpieczne. A kiedy osiągnęła wreszcie zbawczą brzózkę, odkryła, że za pagórkiem nic ma ju ż bagien, lecz

małe, leśne jeziorko. W płomyku kilku następnych zapałek ujrzała suchszy grunt i ścieżkę.

Dotarła nad jeziorko, umyła się, powycierała chusteczką i szalikiem. Na ścieżce zużyła ostatnie zapałki, ale udało się jej trafić na drogę, wiodącą przez las do szosy.

— Tutaj spotkałam na drodze człowieka, który mnie rozpoznał ?— przyznała się.

Jeżeli zatem zestawić zeznania ich obojga, wychodziłoby na to. że taksówkarz Olczak najpierw widział Ilonę Tomczyk, a dopiero później natknął się na zaparkowanego białego fiata. Na pustego białego fiata. Gdzież więc zniknął w tym krótkim czasie Tomczyk? Czy jednak poszedł na poszukiwanie Ilony i w trakcie tego zginął — napadnięty, uduszony i obrabowany przez nieznanego sprawcę? Morderca przeniósł następnie jego ciało do samochodu i, najprawdopodobniej dla zmylenia śladów i odwrócenia podejrzeń od rzeczywistego miejsca zbrodni, wywiózł je w bagażniku fiata na plac Teatralny.

Takie prawdopodobieństwo istniało. Ale istniała i ewentualność, że Tomczyk wcale nic wrócił po Ilonę, tylko pojechał szukać warsztatu Siwka. Wtedy zbrodnia mogła zostać dokonana po drodze — albo w samym warsztacie.

Wanacki miał także jeszcze inną hipotezę — lecz brakowało mu dowodów.

Zapytał Ilonę, czy Olczak nie zwrócił uwagi na jej wygląd — czy na przykład nie rzuciło mu się w oczy, że wędrowała poprzednio po moczarach i biotach? Czy o nic jej nie zapytał, chociażby o to. dokąd prowadzi droga przez las? Jednym słowem — czy ani on. ani też ona nie nawiązali wtedy żadnej rozmowy?

Odpowiedziała, że minęli się bez słowa, a jeśli chodzi o nią samą, to przeważającym uczuciem, jakiego doznała na widok intruza, był strach.

— Każda by się bała na moim miejscu — powiedziała. — Sama wieczorem w lesie, i naraz jakiś potężny facet na

drodze. Mało to teraz różnych zboczeńców i gwałcicieli? Miałam duszę na ramieniu i dziękowałam Bogu, że to się tak skończyło.

Wanacki zagadnął jeszcze, czy mo że Ilona zwróciła uwagę, jak Olczak był wówczas ubrany.

Pokręciła głową.

— Zdaje się, że miał jakąś kurtkę i chyba sweter z golfem. Ale sam pan rozumie: wolałam się bliżej nic przyglądać.

Następnie opisała na życzenie Wanackicgo własny ubiór: czarne, sztruksowe spodnie typu wrangler, niebieski sweter mohair. kurtka ze sztucznego futra, szalik. Bez nakrycia głowy. Aha, jeszcze brązowa torebka. I brązowe botki na obcasie.

Do Międzylesia doszła drogą przez las około siódmej. Wkrótce potem udało się jej złapać taksówkę do Warszawy.

— Czy zapamiętała pani numer wozu? — zapytał Wanacki.

Ilona zaprzeczyła.

— Nie. Nawet nie wiem, jakiej był marki. Wydaje mi się, że fiat. ale pewna nie jestem.

Sprawdzenie nie powinno chyba jednak nastręczać specjalnych trudności.

Zainteresowało go jeszcze jedno.

— Czy nic wstąpiła pani czasem, na moment choćby, do warsztatu, w którym mieliście kupić koralowego fiata? Nic interesował już pani? Nie chciała się pani przekonać, czy pani były małżonek rzeczywiście tam pojechał?

— Nie. Nie obchodziło mnie nic ponad to, jak po tych wszystkich przejściach dostać się szybko do domu.

— Wobec tego po co pani poszła następnego dnia -- przypominam, we wtorek po południu - do waszego wspólnego jeszcze do niedawna mieszkania na Mokotowie?

Odparła jak poprzednio, że po swoje rzeczy oraz po książkę wozu i kluczyki do samochodu.

— Wszystko jedno jakiego — podkreśliła. — Mógł być biały,

koral, każdy - bylebym go wreszcie miała! Po tym wszystkim, co stało się w poniedziałek wieczorem, ani myślałam iść Tomczykowi dalej na rękę. Kupił, nic kupił — co mnie to w gruncie rzeczy obchodziło? Sąd mi przysądził samochód — i na tym koniec. Postanowiłam, że bez kluczyków się stamt ąd nie ruszę...

— Ale dlaczego wówczas kłamała, mówiąc że po raz ostami widziała Tomczyka w niedzielę, podczas gdy w rzeczywistości widziała go jeszcze w poniedziałek?

Na to pytanie miała szybką odpowiedź.

— Od razu przeczuwałam, że coś się stało. Jak tylko usłyszałam, że milicja, pomyślałam sobie: jakiś wypadek — albo kogoś zabił, albo sam się rozbił!

— Dlaczego? Zdziwiła się.

— W tym stanie, w jakim się znajdował...? Wściekły... zdolny był do wszystkiego... A jeżeli jeszcze naprawdę oberwał wtedy dobrze tymi drzwiczkami? Takie uderzenia też mogą mieć swoje skutki... Poza tym we wtorek rano dzwoniłam do niego do biura i upewniłam się, że nie przyszedł. No i wszystko mi się od razu ułożyło. Nie przyszedł do pracy, w domu też go nie ma, milicja go szuka. Jak mogłam myśleć inaczej? A że jak już wspomniałam, nie chciałam miecz tym nic wspólnego...

Mżawka przeszła w zacinający deszcz. Duże krople spadały z gałęzi, szumiąc jak ciurkająca leniwie fontanna. Któraś z tych gałęzi, odsunięta ostrożnie w bok, nie ugięła się jednak z podobną jak poprzednie elastycznością, ale uderzyła z rozmachem Wanackicgo w twarz.

Zajęły rozcieraniem bolącego miejsca Wanacki nie zauważył ciemnej sylwetki. Oślepił go nagły, ostry błysk. Odruchowo uskoczył w bok. Usłyszał znajomy głos.

— No, nareszcie, czy coś się stało? — w pytaniu

Zakrzewskiego pobrzmiewał niepokój.
— Niewielkiego— zbagatelizował. — Trochę się skaleczyłem.
— Może trzeba przemyć. Odkryłem tu w pobliżu jakieś jeziorko, woda pewno tam czysta...
Jeziorko, do którego niebawem dotarli, otaczały tereny tak podmokle, że rozrzucone kępy drzew i mchu przypominały małe wysepki. Względnie sucho było nieco dalej — i tylko tamtędy można się było dostać na drogę.
Po jakimś czasie las zaczął rzednąć. Pod nogami wyczuli płyty chodnikowe. Po drugiej stronic, naprzeciw, wyrastały fundamenty jakiegoś budynku oraz wysoki płot, otaczający warsztat Siwka. Przez spiczaste, żelazne sztachety, widać było podwórko, na którym mocna, jarzeniowa latarnia oświetlała kilka aut; wśród nich znajdował się również groszkowy fiat.
Zakrzewski poweselał. Mimo chwilowych przeszkód wszystko wydawało się iść zgodnie z pierwotnym planem.
W przeciwieństwie do swych ostatnich odwiedzin, gdy zastał warsztat w pełnym ruchu, obecnie Wanacki nie usłyszał żadnych odgłosów pracy. W parterowym budynku panowała cisza. Jedynie w oknie pomieszczenia na zapleczu paliło się światło i stamtąd też dolatywały przez uchylony lufcik strzępy rozmowy.
Pierwszy z głosów to był z pewnością głos Siwka, drugi — przypominał głos Olczaka. Olczak mówił szybko, nerwowo, podniesionym tonem.
Wanacki przywarł do sztachet,
— Chamie, złamanego grosza nie dostaniesz! — usłyszał Olczaka. A zaraz potem mało sympatyczną obietnicę rozwalenia łba, w połączeniu z perspektywą rychłego gryzienia piachu.
I śmiech Siwka:
— Nie strasz, nie strasz, bo się...
— Zaraz zobaczymy, kto tu kogo... Chwila ciszy, ciężkie

stąpanie, wyolbrzymione cienie na tle jasnego prostokąta okna, nagły brzęk szyby, głośne plaśnięcie ciężkiego przedmiotu w błoto podwórka.

Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń Wanacki popędził w kierunku bramy.

Nie była zamknięta, ale za to wewnątrz szalała prawdziwa bestia, której widok każdego mógł przyprawić o palpitacje serca. Ogromny wilczur o imponujących kłach i pazurach, wsparty na tylnych łapach, przednimi drapał zamknięte drzwi warsztatu. Zduszone wycie i ostrzegawcze warknięcia do szczętu obrzydziły Wanackiemu niespodziewane spotkanie. Mimo to, pełen samozaparcia, powiedział: — Dobry piesek, dobry.

„Piesek" ani myślał w to uwierzyć. Wanacki rzucił się więc bohatersko naprzód, zostawiając szalejącego psa Zakrzewskiemu, i z pistoletem w ręku wskoczy! przez wybite okno do warsztatu.

Znalazł się w pomieszczeniu wyglądającym jak po przejściu tajfunu. Wśród porozrzucanych narzędzi, powywracanych blaszanych puszek i innych akcesoriów, w ogromnej czerwonej kałuży, którą wziął początkowo za krew, ale która śmierdziała jak lakier, tarzały się dwie niemiłosiernie upaćkane postacie. Jedna zyskała właśnie chwilową przewagę — i już się wznosił żelazny pręt...

— Stać! Milicja! — zawołał Wanacki. lecz zanim zdążył coś przedsięwziąć, wyprzedził go wilczur. Jednym susem dopadł walczących i runął na nich.

— Ratunku! — rozległ się zduszony krzyk. — Weźcie tego bydlaka... — ręka z prętem opadła. — Rat... — i równocześnie rozkaz:

—Nie strzelać! Nie strzelać!

To wołał Zakrzewski, który wpadł tuż za psem i zobaczył pistolet w dłoni Wanackicgo.

Zaczął odciągać psa.

— Bingo... Bingo... zostaw — zawołał Siwek. Pies jednak nadal szalał. Wanacki spostrzegł na podłodze jakąś linkę. Była krótka i ociekała czerwoną farbą, ale wydawała się dość mocna. Pospiesznie związał pętlę i zamachnął się tym prowizorycznym lassem na wilczura.

Za pierwszym razem lina zsunęła się po gładkiej sierści zwierzęcia. Za drugim jednak zacisnęła się na masywnej klatce piersiowej. Pies został obezwładniony. Skapitulował i dał się wyciągnąć na zewnątrz. Zakrzewski przywiązał go do sztachet parkanu na podwórzu, skąd od czasu do czasu rozlegało się rozpaczliwe szczekanie.

Olczak i Siwek wyglądali tak, jak zwykli wyglądać uczestnicy bójek. Ich ubrania były poszarpane i brudne, a i twarze nie prezentowały się najlepiej. Wanacki obrzucił ich krytycznym spojrzeniem.

— Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście nie za ładnie się tu zabawialiście? — zapytał. Pokiwał sceptycznie głową. — Kto by pomyślał: załatwia ć interesy w taki sposób...

Na twarzy Siwka nie malował się szczególny entuzjazm, raczej niebotyczne zdumienie na widok amatora groszkowego fiata, który nagle okazał się przedstawicielem tak zwanego aparatu ścigania. Mimo to wykrztusił:

— On... — mówienie sprawiało mu pewną trudność, widocznie jeszcze nie przyszedł do siebie. Wskazał na Olczaka. — Chciał... Chciał mnie zabić...

Zakrzewski wyszedł na dwór z krótkofalówką, aby wezwać radiowóz.

— Zabić? — powtórzył Wanacki. — Tak sobie, ot, bez powodu?

Siwek wytarł usta podartym swetrem.

— Miał do mnie pretensje — oznajmił — z powodu fiata, mówił, żeby mu zwrócić część pieniędzy, bo samochód ma wady... Kiedy odmówiłem, zaczął grozić, rzucił się na mnie...

Wanacki zlustrował Olczaka spojrzeniem.

— Taki z pana nerwus? O te parę groszy zaraz bić? A jakby się tak naprawdę źle skończyło?

Olczak podniósł w górę łapę wielką jak bochen, lepką od lakieru, zwinął ją w pięść i groźnie machnął w stronę Siwka.

— Tyle! — powiedział. — Tyle, skurwysynie, dostaniesz!

— O co właściwie chodzi, panie Olczak? — zapytał Wanacki. — Ma pan jakieś konkretne pretensje?

— Oczywiście, że mam! — zwinięta pięść otworzyła sie, jeden z palców wycelował w kierunku Siwka.

— Myślał, że trafił na frajera, z którego uda mu się wydoić kupę forsy.

Siwek poszukał wzrokiem Wariackiego i wzruszył ramionami z politowaniem. Dawał do zrozumienia, że nie wie, o co chodzi.

Wanacki jednak domyślał się.

— Szantażował pana? — zapytał.

— Chciał pieniędzy — wypalił krótko Olczak. — Dwa dni temu zatelefonował do mnie do domu — adres miał z umowy kupna-sprzedaży samochodu — i powiedział, żebym jak najszybciej przyjechał, w swoim własnym interesie, do jego warsztatu w Międzylesiu...

Siwek postukał się znacząco palcem w czoło, sugerując, że taksówkarz nie cieszy się jednak pełnym psychicznym zdrowiem.

— Dzwonił pan? — zwrócił się do niego Wanacki.

— Telefonowałem, ale... Olczak nie dał mu dokończyć.

— No, proszę... I jeszcze mówił, żebym sobie dobrze przypomniał, co robiłem w poniedziałek, i że jak sobie sam nie przypomnę, to inni zrobią to za mnie.

— Więc jadąc do Międzylesia nie wiedział pan. po co?

— Ano nie! Ale jak zacząłem rozmyślać, przyszło mi do głowy, że a nuż ma to jakiś związek z fiatem, obok którego przechodziłem w lesie, albo z tą kobietą, którą tam spotkałem...

Wanacki domyślił się, dlaczego Olczak, tak początkowo małomówny w taksówce przed Okęciem, w parę dni później zgłosił się na komendę. Widać doszedł do wniosku, że lepiej jeżeli zrobi to sam, zanim powiedzą o nim inni.

— Pewien jednak nie byłem — ciągnął Olczak — więc przyjechałem, żeby się zorientować, o co właściwie chodzi. I wtedy właśnie...

Siwek nie dał mu skończyć.

— Niech się pan nie da nabrać! — krzyknął. — To morderca!

W warsztacie zapanowała nagła cisza, w którą wpadło ochrypłe szczekanie psa.

Siwek sięgnął do kieszeni po pęk kluczy, odłączył jeden i wręczył go Wanackiemu.

— Tam w szafce — wskazał dość podniszczony mebel w kącie —jest metalowa kasetka. Niech ją pan otworzy, zobaczy pan coś ciekawego...

Kasetka miała dwie przegródki. W jednej leżały pieniądze w banknotach po tysiąc i dwa tysiące złotych. W drugiej bilon przykrywał grubą, brązową kopertę, złożoną w pół i zaklejoną taśmą izolacyjną.

Wanacki rozerwał taśmę i wyjął — portfel z lwem! Portfel, który Tomczyk kupił na jednym z egzotycznych bazarów podczas pobytu za granicą, i w którym, jadąc do Siwka, mia! większą sumę pieniędzy w bonach. Obecnie jednak portfel był całkowicie pusty.

Opanował zaskoczenie.

— Skąd pan to ma? — zwrócił się sucho do Siwka.

Z wyrazem triumfu Siwek wskazał na Olczaka.

—Znalazłem — powiedział.

Następnie zrelacjonował, jak to po raz pierwszy zobaczył ową oryginalną rzecz u Tomczyka podczas niedzielnej giełdy samochodowej, jak się dopytywał, gdzie coś takiego można kupić, i jaką otrzymał wówczas odpowiedź. A po raz drugi widział ją w poniedziałek wieczorem, na podłodze własnego

warsztatu.

— Nie miałem najpierw pojęcia, skąd się tu nagle wziął. Obejrzałem go — wewnątrz był pusty. Potem dopiero, kiedy zacząłem się zastanawiać, przyszło mi do głowy, że nie tylko zgubił go tutaj ten taksówkarz, który kupował ode mnie fiata korala. Przypomniałem sobie, że przyszedł w płaszczu, który przewiesił przez oparcie krzesła. Prawdopodobnie portfel wypadł mu z kieszeni.

— No, a później, kiedy pewne fakty dawały się już złożyć i kiedy dowiedział się pan o zamordowaniu Tomczyka — pańskiego klienta z giełdy ?— zatelefonował pan do Olczaka, żeby go szantażować...

Siwek obruszył się.

— Szantaż? Ależ skąd! Kto tu mówi o szantażu? Chciałem po prostu, żeby przyjechał rozpoznać i — nie ukrywam — powiedzieć, skąd to ma. Ale jak tylko powiedziałem, o co chodzi, rzucił się na mnie z pięściami...

Olczak przejechał dłonią po brodzie, ścierając drobiny zasychającego lakieru.

— Kłamstwo i już — rzek! krótko. — Faktycznie wmawiał mi, że zatłukłem jakiegoś faceta i zrabowałem mu portfel. Za to, że nie powie o tym nikomu, miałem mu płacić. Za to wszystko właśnie musiałem mu porządnie skuć mordę.

Wanacki obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Nic pan nie musiał. Zamiast wymierzać sprawiedliwość na własną rękę, powinien pan przyjść do nas. Na szantaż też są sposoby.

Olczak zmieszał się.

— No tak, właśnie, zamierzałem... Zaraz jak tylko się zorientowałem, co jest grane. ale...

— Ale najpierw wolał pan jednak załatwić sprawę inaczej. A gdyby tak to „załatwianie" skończyło się źle? Jeszcze jeden trup więcej?

Zaczerpnął głęboko powietrza.

— Nikogo nie zabiłem. A portfel po prostu znalazłem. Leżał przy drodze, w lesie, wybebeszony, niczyj, więc go schowałem do kieszeni płaszcza. Widać nie za dobrze, skoro wypadł i nawet nic wiedziałem, gdzie go szukać. Dopiero tutaj wszystko się stało jasne...

Dla Wanackiego jednak jasne to wszystko nie było.

X

Rano Kamila nie miała gorączki i Wanacki pojechał do pracy z mniejszymi już niż poprzednio wyrzutami sumienia i z mniejszym również na szczęście bólem głowy. Widocznie grypa jednak go omijała.

Dopiero teraz mógł obejrzeć dokładniej portfel Tomczyka, z którego technicy zdjęli wczoraj wieczorem wszystkie ewentualne odciski palców. Bez specjalnej wprawdzie nadziei, rozłożył jednak na biurku arkusz papieru i wywrócił podszewkę. Wysypało się trochę piachu i parę drobnych okruchów. Wanacki wziął szkło powiększające. Gdy wodził nim nad papierem, jego wzrok natrafił na coś, co sprawiło, że nagłe, i to w dość wyrazisty sposób, przypomniała mu się pewna scena... Szybko sięgnął po kopertę, do której zgarnął zawartość portfela.

Zadzwonił telefon. Zakład kryminalistyki zgłaszał się z wiadomo ścią, że jest do odebrania ekspertyza do sprawy zabójstwa Tomczyka. Wanacki postanowił sam po to pojechać. Przy okazji odda jeszcze w zakładzie kopertę z okruchami i paprochami i porozmawia na jej temat. Następnie wróci do komendy po Olczaka i Ilonę Tomczyk, potem — wizja lokalna w Międzylesiu. Od wczoraj wieczorem Olczak i Siwek siedzieli w areszcie. Wanacki miał nadzieję, że po wczorajszej bójce zdołano ich tam jakoś doprowadzić do porządku.

Jednakże wszystkie te plany pokrzyżował niespodziewanie

Zakrzewski, który zjawił się z rewelacyjną wiadomo ścią: mo żna już przesłuchać „Cygana".

„Cygan" alias Janusz Kamiński leżał w szpitalu więziennym na Rakowieckiej. Jeszcze miał zabandażowaną głowę, ale już wyglądał raźniej, a w jego oczach pojawiały się cwaniackie błyski. Na pytania Zakrzewskiego i Wanackiego odpowiadał monosylabami i półsłówkami, chętnie tłumacząc się niepamięcią. Nie pamiętał więc na przykład, dokąd wiodła trasa białego fiata, skradzionego na placu Teatralnym i zdziwił się, że miała podobno prowadzić do Łomianek. Nie znał oczywiście i nigdy niw widział na oczy zamordowanego Tomczyka, tym bardziej nie miał pojęcia, że wiozą w bagażniku jego zwłoki.

Mimo to jednak, podobnie jak poprzednio Bednarek, bynajmniej nie życzył sobie być podejrzany i zamieszany w sprawę o zabójstwo. Że zaś musiał się orientować, że historia jest poważna, a jego własna sytuacja nie przedstawia się w aktualnej konfiguracji najlepiej, rzekł:

— Co do kradzieży, rzeczywiście, wyprzeć się trudno, chociaż jaka tam grupa, jaki gang, panowie! Podprowadziliśmy po prostu ze Zbychem ten wózek spod teatru, żeby się trochę przejechać i przypadkowo zdarzyła się nam mocno niefartowna wpadka. Ale wysłanie faceta do piachu? O nie, co to — to nie. W to mnie. panowie, nie wrobicie, a to dlatego, że ja — tak, właśnie ja — widziałem, kto tym fiatem na plac Teatralny zajechał. I ani myślę stawać w zastępstwie w sądzie.

— Czy zna pan tego człowieka? — zapytał Wanacki.

W zakładzie kryminalistyki, który zajmował obszerny budynek w Alejach Ujazdowskich, Wanacki zabawił dłużej, niż myślał, ale też i efekty były tego warte.

Zbliżając się do Pałacu Mostowskich na Nowotki, dostrzegł

przed gmachem Ilonę Tomczyk. Miała na sobie futrzaną kurtkę, spódnicę w kratę i niecierpliwie patrzyła na zegarek.

Wanacki uczynił to również. Musiał przyznać, że była punktualna — to on się spóźnił, i to dość znacznie. Mimo to musiała jeszcze trochę poczekać, ponieważ miał kilka rzeczy do załatwienia.

Przede wszystkim poszedł do szefa, pułkownika Kołodzieja, zrelacjonować pokrótce treść rozmowy z „Cyganem", wyniki ekspertyzy zakładu kryminalistyki oraz odbytej tam dyskusji nad zawartością koperty z paprochami z portfela Tomczyka. Przedstawił także do akceptacji plan dalszych działań.

Kiedy uzyska! zgodę, pozostało mu jeszcze kilka telefonów w różne miejsca. Zażądał także, żeby sprowadzono z aresztu Olczaka. Razem z Iloną Tomczyk oraz z eskortującym milicjantem wsiedli do poloneza, który ich zawiózł do Międzylesia.

W miejscu, skąd od głównej szosy odchodziła boczna droga, Olczak stwierdził:

— To lu. Od tego miejsca poszedłem przez las. Wanacki polecił kierowcy stanąć.

Między drzewami prześwitywało przymglone słońce, rzucając cienie na drogę. Po pewnym czasie droga ta, idąca dotąd prosto, dość ostro zakręciła i równocześnie, jak za dotknięciem różdżki, dotychczasowe piaski i niskie sosenki ustąpiły miejsca bagiennej, podmokłej roślinności, wśród której połyskiwało oczko jeziorka.

Olczak rozejrzał się, zwolnił kroku — i stanął.

— To tu? — zapytał Wanacki.

Olczak przejechał ręką po policzku. Na twarzy miał jeszcze drobiny czerwonego lakieru, których nie udało się, widać, zmyć.

— Przysiąc — nie przysięgnę. W ciemno ściach człowiekowi wszystko się wydaje inaczej... Ale na moje wyczucie to właśnie gdzieś tutaj — odwrócił się w stronę Ilony —

spotkałem tę panią. Pamiętam, że droga z piaszczystej zrobiła się nagle bardzo błotnista.

Wanacki spojrzał na Ilonę.

—Potwierdza to pani?

— Być mo że — odparła. — Naprawdę nie w głowie było mi wtedy rozglądanie się.

—Minęliście się, idąc w przeciwnych kierunkach, tak, panie Olczak?

— Tak.

— Skąd ta pewność?

Olczak przestąpił z nogi na nogę.

— Bo... — zaczął z wahaniem —... kiedy zaraz potem znalazłem ten portfel, wie pan, o czym mówię, pomyślałem sobie, że to mo że własność tej pani. Zawołałem więc, raz i drugi, a kiedy nikt nic odpowiadał, jeszcze nawet kawałek pobiegłem. Ale już tej pani nie dogoniłem. Musiała szybko iść.

— Zastanawiające — skonstatował Wanacki. — Żeby mężczyzna o takiej jak pan posturze, panie Olczak, miał głos słaby niczym pisklę, a i nogi także nic lepsze, skoro nie mógł pan dogonić kobiety dopiero co spotkanej. A mo że pan jej wcale nie wołał ani nie gonił, tylko po prostu schował portfel do kieszeni? Albo — obrócił się w stronę Ilony — mo że to pani, zamiast iść dalej drogą w kierunku przystanku, zboczy-ła, na przykład nad jeziorko?

— Po co miałabym tam iść jeszcze raz, skoro dopiero co ledwie się stamt ąd wydostałam? Przecież panu mówiłam!

— I owszem — przyznał Wanacki — ale" jeziorko otaczają moczary, a jedyna suchsza droga stamtąd prowadzi od jego południowego krańca. Tymczasem, jak wynika z obecnej wizji lokalnej, Olczak spotkał panią podobno na krańcu północnym. Jak więc się pani wydostała?

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się z kolei do Olczaka.

Gdzie pan znalazł portfel Tomczyka?

— Dalej. Oświetliłem go latarką. Leżał przy drodze, puściusieńki.

— A gdzie stal fiat?

Taksówkarz zaprowadził ich dalsze kilkaset metrów naprzód, a Wanacki zapytał Ilonę:

— Czy to tu zatrzymaliście się wtedy w lesie, podczas kłótni?

Ilona rozejrzała się.

— Naprawdę trudno powiedzieć. Nie wiem. Byłam tu wtedy pierwszy raz, na dodatek po ciemku. Jedyne, co pamiętam, to to leśne jeziorko.

— Fiat, którego pan minął, panie Olczak, był pusty? Potwierdza to pan?

— Ja w każdym razie nikogo w nim nie zauważyłem.

— No i właśnie — rzekł Wanacki. — Znów się nie zgadza. Pan Olczak upiera się, że wóz był pusty, pani Tomczyk mówi, że został w nim jej mąż. Pan Olczak zeznaje, że samochód stał przy drodze, pani Tomczyk — że odjechał. Według zeznań pani Tomczyk w portfelu była pokaźna suma pieniędzy w bonach pekaowskich, według pana Olczaka — portfel był pusty. Komu wierzyć?

Urwał, sprawiając wrażenie, że się zastanawia.

— A mo że jednak spróbowalibyśmy — rzekł po chwili — jakoś rozwiązać te sprzeczności? Moja wersja wydarzeń jest taka: w poniedziałek w południe Tomczyk bierze z banku większą gotówkę w bonach pekaowskich. Wraca jeszcze raz do biura, skąd wychodzi na spotkanie z panią Tomczyk, dla sfinalizowania transakcji zakupu samochodu w Międzylesiu. Nieznajomo ść terenu w połączeniu z panującymi ciemnościami powodują jednak zboczenie z trasy...

Ilonie, która słuchała Wanackiego oparta o przydrożne drzewo, musiało się widać, zrobić za gorąco, skoro rozpięła futrzaną kurtkę i rozluźniła szalik.

— Z pani relacji — zwrócił się bezpośrednio do niej — wynika, że w tym momencie doszło do gwałtownej kłótni.

Tomczyk wyrzucił panią z samochodu, a sam odjechał. Czy tak?

Ilona potwierdziła. Wanacki spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Jeżeli tylko dobrze wyliczył czas. za kilkanaście minut powinien się tu rozegrać ostatni akt dramatu. Zanim się odezwał ponownie, chwilę nasłuchiwał. W lesie panowała jednak cisza, jedynie wiatr poruszał od czasu do czasu wierzchołkami sosen i bezlistnych jeszcze brzóz.

Kątem oka spostrzegł, że Olczak poruszył się niespokojnie i że mundurowy milicjant przysunął się bliżej. Z Olczaka Wanacki przeniósł wzrok na Ilonę i rzekł dobitnie:

— Najważniejszego pani jednak nie powiedziała...

Ilona spojrzała wyczekująco, a więc dokończył:

— Ze to właśnie pani zabiła swojego męża, Jerzego Tomczyka.

— Co? — podniosła obie ręce w górę gestem bezradności i bezgranicznego zdziwienia, a potem przyłożyła je do gardła, skąd wydobyło się równic zdziwione: „Ja?"... i jakby wraz z tym nabrała pewności siebie, skoro, ostrym już tonem, zaatakowała Wanackicgo: — Co pan sobie właściwie myśli? Jakim prawem? Niech się panu nie zdaje, że milicji to już u nas wszystko wolno! Na jakiej właściwie podstawie?...

Podnosząc coraz bardziej głos. mówiłaby tak zapewne dłużej, gdyby Wanacki jej nie przerwał:

—Na podstawie dowodów i poszlak.

— No nie! — wykrzyknęła, cała w czerwonych plamach na twarzy ze wzburzenia. — Na szczęście to jeszcze nie wy o wszystkim decydujecie! Jeszcze są w Polsce sądy! Wszystko trzeba udowodnić!

— Toteż właśnie do tego zmierzam — rzekł Wanacki. — Czy między panią a Tomczykiem istniały nieporozumienia? Tak. istniały. Na różnym zapewne tle, ale i na majątkowym również. Chodziło o konto dewizowe, o samochód, ale chyba

przede wszystkim o mieszkanie, stanowiące wciąż formalną własność Tomczyka. Nie zaprzeczy więc chyba pani. że wasze pożycie nie układało się najlepiej, i że miała pani do męża rozmaite żale i pretensje?

—Niechże mnie pan nie rozśmiesza — odparowała Ilona. — Te pretensje właśnie to — według szanownej milicji — dowody?!

— Tego nie powiedziałem. Uważam je natomiast za jedną z okoliczności, która pozwala zrozumieć, dlaczego pani ważyła się na taki krok. Bo jest i inna, ważniejsza. Otóż złożyłem niedawno wizyt ę w sądzie, gdzie toczył się wasz proces rozwodowy. Dowiedziałem się tam. że wprawdzie rozwód w sądzie rejonowym orzeczono, ale pani założyła rewizję do sądu wojewódzkiego. Formalnie więc była pani w chwili śmierci Tomczyka jego żoną — czyli również jego jedyną spadkobierczynią. Wszystko po nim pani dziedziczyła: konto, samochód, mieszkanie, meble. Śmierć Tomczyka właśnie w tym momencie przynosiła pani istotne korzyści. Natomiast po rozwodzie — z całego tego majątku nic by nie zostało: traciła pani i konto, i mieszkanie. A w razie śmierci Tomczyka po rozwodzie także nie miałaby już pani do tego prawa. Rozprawa rozwodowa w sądzie wojewódzkim była wyznaczona na piątek — Tomczyk zatem musiał umrzeć wcześniej.

Nawet i teraz Ilona nic straciła pewności siebie.

— Hipotezy to za mało — rzekła z szyderczym skrzywieniem ust. — Jaki sąd uwierzy w te bajeczki?

— Sąd będzie miał jeszcze zeznania Olczaka, na podstawie których także można odtworzyć przypuszczalny przebieg wypadków. Moim zdaniem wykorzystała pani okazję, którą dało przypadkowe zjechanie z właściwej drogi do lasu. Tu rzeczywiście mogło dojść między wami do sprzeczki, a nawet, nie wykluczam, do owego uderzenia się Tomczyka w głowę drzwiami samochodu. Tylko że potem, gdy Tomczyk slracil

przytomność, zamordowała go pani. Zadusiła. Przypuszczam, że paskiem od kurtki, którą pani także i dziś ma na sobie, gdyż widzę na niej jeszcze ślady od takiego paska, od jego długiego noszenia.

— Paska już u nas nosić nie wolno? — wtrąciła Ilona. — To też niby ten dowód przeciw mnie?

Wanacki pominął ów wtręt milczeniem i ciągnął dalej:

— Potem zabrała pani Tomczykowi portfel z bonami, zdjęła z ręki złoty sygnet, a ciało umieściła w bagażniku samochodu... Pozbywając się obciążających panią dowodów zapewne — jak się domyślam zamierzała pani wrzucić portfel i pasek do pobliskiego jeziorka. Ale albo w pośpiechu zgubiła pani portfel, albo po prostu zrobiła to pani już w lesie, w pobliżu miejsca zabójstwa, aby dowód ten nie obciążał pani.

Ilona pokręciła głową.

— Niech się pan nie łudzi, że się nabiorę i dam się podprowadzić. To wszystko tylko pana luźne sugestie, nic więcej.

Olczak, niemy ś wiadek dialogu, wodził oczami od jednego do drugiego.

— Mamy i dowody. Na przykład strzępki, znalezione pod paznokciami denata. Zidentyfikowano je jako nitki z futerka o tak, takiego właśnie, jakie pani i dziś ma na sobie, i które pani nosiła również tamtego dnia w Międzylesiu. Musiał się bronić, prawda?

—Przecież mówiłam, że się szarpaliśmy ze sobą. Pewnie właśnie wtedy mi je powyrywał.

— Ale do portfela Tomczyka przecie ż-pani nie zaglądała?

Namyślała się chwilę.

— No... nie... — przyznała wreszcie i w tym momencie Wanacki wiedział, że przegrała. W zanadrzu bowiem chował coś jeszcze.

—Czy przypomina sobie pani nasze pierwsze spotkanie w waszym mieszkaniu na Mokotowie? Miała pani wówczas na

jednym z palców wąziutki plaster — widocznie gdzieś się pani skaleczyła; mo że przy jakichś pracach domowych? Ale kiedy nerwowo i pospiesznie wyjmowała pani bony z portfela Tomczyka, plaster musiał się odkleić. Wykryto na nim ślady damskiego pudru oraz mikroskopijne odpryski lakieru do paznokci. W badaniach porównawczych będzie można bez trudu ustalić, czy gatunek pudru i lakieru odpowiadają rodzajom kosmetyków, których pani używa.

Z oddali usłyszeli warkot samochodu. Wanacki zaś pomyślał, że wszystko idzie według planu.

Zza zakrętu wynurzyła się karetka pogotowia. Wysiadło dwóch mężczyzn; jeden w mundurze milicyjnym, drugi w płaszczu narzuconym na biały, lekarski kitel. Ten ostatni otworzył na oścież drzwi sanitarki.

Ilona nie była w stanie ukryć zaskoczenia. Posłusznie, wykonując polecenie Wanackiego, podeszła do karetki. Ujrzała młodego mężczyznę z obandażowaną głową. Na jej widok uniósł się na rękach i wlepił w nią nieprzyjemne, badawcze spojrzenie czarnych oczu. Chociaż widziała tego osobnika pierwszy raz w życiu, poczuła nieprzyjemny dreszcz. On zaś skinął na Wanackiego i głośno, głośniej nawet niżby potrzeba, oznajmił:

— Poznaję. To ta.

— Co to ma znaczyć? Co to za człowiek? — zawołała Ilona głosem niespodziewanie dla siebie samej piskliwym, wysokim.

— Należy się pani wyjaśnienie — odparł Wanacki. — To niejaki Janusz Kamiński, który zanim ukradł samochód ze zwłokami pani męża z placu Teatralnego, przez dłuższy czas tam się kręcił, obserwując auta. No i przy tej okazji zobaczył również i panią. Ponieważ zajechała pani na plac Teatralny dosyć późno, uznał, że nie będzie pani dłużej, i że właśnie ten fiat najbardziej nadaje się do kradzież y.

Jeżeli nie miała nerwów ze stali, musiała się wreszcie

załamać. Nie można potęgować w sobie napięcia bez końca.

— A nasi ludzie — dorzucił — właśnie teraz przeszukują pani mieszkanie na Mokotowie. Też tu zaraz będą. Czy chce pani zobaczyć, co znajdą?

— Nie! — wybuchnęła. Po co ta cała komedia? Po co się zgrywacie, jak i tak wiecie?! Nie mogę tego dłużej znieść!

Wanacki nie był w stanie zdobyć się na współczucie.

— Ale zabić pani mogła?

— Tak! Zabiłam go! Musiałam — dodała już nieco bardziej opanowana. — W obronie własnej!

Teraz mówiła już szybko, bez przerwy.

— Wycofałam zgodę na rozwód. Bał się. że mu pokrzyżuję plany, będę rozrabiać w przedsiębiorstwie, zgłoszę zastrzeżenie i wstrzymają mu następne wyjazdy za granicę. Więc chciał ode mnie tę zgodę wymusić, dawał pieniądze, obiecywał samochód. Ale kiedy w Międzylesiu pokłóciliśmy się. wściekłam się i powiedziałam, że nic z tego. Przed sądem wojewódzkim podtrzymam rewizję. Wtedy oznajmił, że nie widzi innego wyjścia, jak tylko mnie zabić. Wypchnął mnie z samochodu i kazał iść przodem, zapowiadając, że mnie powiesi na drzewie, pozorując samobójstwo, śmiał się cynicznie, że i tak się nikt nie zorientuje, ponieważ zrobię to na własnym pasku, który mi zerwał z futerka. Wybrał nawet odpowiednie drzewo, ale kiedy zadarł głowę do góry i ręką badał, czy konar utrzyma ciężar mojego ciała, gałąź złamała się i stracił równowagę. To mnie uratowało! Chwyciłam ją i z całych sił, ile ich tylko miałam, uderzyłam — w samą skroń! Upadł. Wyrwałam mu pasek z ręki — zarzuciłam na szyję... Nic. nie miałam żadnych wyrzutów sumienia — uważałam, że spotyka go słuszna kara... Dopiero potem straciłam głowę, nie wiedziałam, co począć. Postanowiłam upozorować morderstwo rabunkowe. Zdjęłam mu z ręki sygnet i zabrałam bony z portfela, ale, jak się później okazało, zapomniałam o zegarku... Ciało wsadziłam do bagażnika.

pasek utopiłam w jeziorze. Fiata odstawiłam na plac Teatralny...

— No i jak ci się wydaje? — zapytała Kamila, krzątając się przy łó żku Wanackiego. którego jednak w końcu zmogła grypa. - Która wersja prawdziwa: twoja czy Ilony Tomczyk?
— Ba! — odparł Wanacki. — Czy to ktoś mo że ustalić do końca z całą pewnością? Świadków przecież wtedy nie było. Sąd będzie miał rzeczywiście ciężki orzech do zgryzienia.
— Tobie też nie byłoby łatwo, gdybyś nie trafił wtedy, w Międzylesiu, na portfel Tomczyka.
— Mylisz się. Portfel wypłynąłby tak czy tak. Olczak, tu mu wierzę, na pewno przyszedłby do nas z tą całą historią szantażu. Chociażby z obawy, że w przeciwnym wypadku może zostać wmieszany w morderstwo, którego nie popełnił. Poza tym były inne poszlaki i dowody, wskazujące wyraźnie właśnie na Ilonę Tomczyk.
— Ten „Cygan" jako koronny świadek? Zdradź, trochę tajemnic śledztwa i powiedz, czy rzeczywiście ją rozpoznał, czy też to tylko bluff i odpowiednia reżyserka dla sprowokowania do przyznania się?
— Jedno i drugie — odpowiedział enigmatycznie Wanacki.
—Ale po co? Dla efektu? Bo je śli dowodów i poszlak ci nie brakowało...
— Ale najważniejsze, czyli sygnet Tomczyka i zwitek bonów pekaowskich, znaleziono dopiero później, zapakowane w plastik, na spodzie doniczki z palmą w mieszkaniu na Mokotowie.
— Tylko że i tak, przy pomocy dobrego adwokata, który oczywiście postawi na przekroczenie granic obrony koniecznej, i na zabójstwo w afekcie, dostanie pewnie jakiś nie za duży wyrok.
— No cóż — nie wiesz, że wszystkie wątpliwości przyjmuje się na korzyść oskarżonego?



W latach 1977 – 1984 w serii „Ewa wzywa 07"
ukazały się następujące pozycje:

Cena zł 50.—

ISBN 83-207-0688-2